

DAWID
KAIN

ZA
PIĘĆ
REWOLTA



Dawid Kain
Za pięć rewolta

Za pięć rewolta

Skład i korekta: Katarzyna Derda i Paweł Dembowski

Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Ilustracja na okładce: Jarek Kubicki

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-91-0

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

epilog

Głos z ciemności każe: opowiadaj.

Nie ma ust, więc na mnie zrzuca całą odpowiedzialność.

Nie zna litości, rozbrzmiewa raz za razem, najczęściej nocami, bezcielesny złodziej, zabiera sen i spokój.

Takie historie lubią się powtarzać, ta nie będzie wyjątkiem.

Nieznoszący sprzeciwu ton odziera mnie ze złudzeń: wyśmiał cię już chyba każdy, wróg czy przyjaciel, zmarnowałeś wszystkie szanse, przegrałeś życie, postradałeś zmysły. Więc opowiadaj, dalej, już, teraz. Bo chcę wiedzieć. Jaki byłeś, jaki jesteś, jaki będziesz? Co zrobiłeś i czemu? Kłam, jeśli chcesz, mitologizuj, przeinaczaj. Fakty i urojenia utrzymuj w równowadze, nie odgradzaj przecinkiem delirium od jawy. I nie licz się ze słowami — każde może być ważne, nie tobie decydować, nie tobie wprawiać szale w wahanie.

Po prostu mów, no, dalej.

Zgoda.

Słuchajcie.

To było...

To było niedługo przed tym jak umarłem.

pożegnaj się z ziemią i skacz

Jezu Chryste, znowu jestem sam, znowu jak ten palec, więc powiedz, stary, co robiłeś przez te dni, kiedy byłeś umarły, no wiesz, zanim na dobre zmartwychwstałeś, bo mój problem może trwać dłużej niż weekend i raczej nikt tu nie przyjdzie, by odsunąć kamień.

I jeszcze moja dziewczyna, Alicja, znowu jest w tej cholernej pracy. Mimo że odwała najczarniejszą robotę, to i tak u nas wciąż kasy jak na lekarstwo.

Bo ludzie dzielą się teraz — znacznie mocniej niż kiedyś — na obrzydliwie bogatych i odrażająco biednych. Na bydło i rzeźników, na noże i mięso. Bóg bowiem, owszem, tli się jeszcze w tym świecie, ale strasznie się spłaszczył, rozmienił na najdrobniejsze, zaklęty jak dzin w dolarach i centach, i funtach, i pensach, i euro, i jenach, a ten, kto ich nie ma, jest dożywotnio przeklęty, ekskomunikowany ze społeczeństwa.

Chcąc zatem zdobyć choć tyle, by nie umrzeć z głodu i nie zalegać z czynszem, moja dziewczyna, Alicja, jest teraz cum doll w klubie dla napaleńców z wypchanymi portfelami. Najpierw kładzie się na wąskim jak trumna łóżku w samym epicentrum pogrążonej w półmroku sali, zupełnie naga, a potem leży, leży z zamkniętymi oczami, próbując sobie wmówić, że przecież mogło być gorzej, gdy tymczasem jakieś zwyrole stoją nad nią w kręgu, jęcząc i parszcząc, a w końcu znaczą bladymi plamami jej delikatne ciało.

Nie mogę przestać o tym myśleć...

Ciągle sobie wyobrażam, że tego nie da się zmyć, że coś takiego zostaje, na skórze i pod nią, wnika w krew, płynie żyłami, płynie tętnicami prosto do serca. Ich chrapliwe oddechy, mamrotane przekleństwa, duszne i ciemne noce, jasne błoto nasienia, wciąż więcej i więcej, trucizna prosto do serca, aż ono się udławi i na dobre stanie.

Ona. Tam. Sama.

I oni. W kręgu. Nad nią.

Mógłbym długo gadać, pustka wszystko przyjmie, a pustki wszędzie pełno, każda ściana jest jak niezapisany arkusz, każdy atom to kropka po niewypowiedzianym zdaniu.

Nie zostało mi już nic, tylko opowiadać, opowiadać, opowiadać.

Zmysły się wyostrzają.

Widzę teraz wyraźnie: czcionka wypęła spomiędzy warg raz za razem, wchodzi prosto w ciemność, zlewa się z nią w jedno. Litery przypominają robactwo i gdybym kiedyś zdecydował się przyszpilić je do kartek, wiłyby się

jeszcze długo po opuszczeniu drukarni.

Słyszę teraz wyraźnie: te słowa padają, by nie powstać. Bo to nie jest wartościowa historia do opowiedzenia komukolwiek, żaden z niej środek uspokajający, żaden zmiękcacz chropowatego świata przedstawionego.

Tu nie ma morałów i szczęśliwych zakończeń, szczęście jest tylko mglistą obietnicą jakiejś tęczy po jakimś tam deszczu, ale ta zapowiedź się nie spełni, jaśniejsze dni nie nadejdą.

Już naprawdę nie ma na co czekać, lepiej poddać się na starcie, być wiernym porażce, cieszyć oczy widokiem gasnącego miasta i nie myśleć nawet, że sekundę temu skoczyliśmy z dachu. I siebie, pewnie, możemy okłamywać, ale nie oszukamy grawitacji.

To raczej opowieść dla takich jak ja: czubków wypchniętych poza wszelki nawias, abnegatów, co wszystkie ludzkie ideały dawno dawno temu włożyli między bajki. Boleśnie wciskani w cywilizację jak w za ciasny kaftan, aż szwy nie wytrzymały. Specjalnie dla takich, co to wciąż snują historyjki bez celu, sensu i żadnych adresatów, plotą w pustkę, starając się ją nakarmić. Z krwi, potu i śliny lepią lepsze światy, zarodki galaktyk, które nie powstaną, nie będą miały szansy.

Alicja miała wielkie plany. Wszystko powinno potoczyć się inaczej. Miała być wyżyna, a jest brak perspektyw i ciągle porażki.

Ona skończyła naprawdę dobrą uczelnię i naprawdę się starała, wciąż gotowa na więcej, do każdego zajęcia zabierała się z pasją, choć ciągle brakowało jednego, brakowało pieniędzy. Więc z dnia na dzień wzrastał w niej wstręt do świata, jak kolczasta łądyga w gardle, mdliło życie, które każe ci zaspokajać potrzeby wszystkich wokół, nigdy swoje.

Próbowała się jakoś odciąć od naszych niepowodzeń. Przestała wierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Wolała czytać niż istnieć.

Wolała oglądać telewizję niż własne odbicie.

Ale rzeczywistość nieustannie upominała się o nią. Nie dało się przecież ukryć na wieki wieków za grubą ścianą książek, wciąż bezkarnie przedawkowywać fabułę, wpuszczając je w krwiobieg.

Były jeszcze palące obowiązki:

Będiesz obiektem seksualnym za pieniądze, leż nieruchomo, bo wśród klientów co trzeci to nekrofil, jemu nie stanie, jak będziesz się wiercić, więc leż, w porządku? Czeka, oni dojdą, umyjesz się i wejdą następni, potem wrócisz do siebie, tam masz miłość i wspólną przyszłość, to całe bycie ze Sławkiem, parą nie od parady.

I nie mów, błagam, że nie ma już w tobie ludzkich uczuć poza gniewem, tak nie można, dobry stwórca wrzucił cię w ten gnój nie bez powodu, więc jedz, módl

się, kochaj. Więc rozmnażaj się, wypływaj kolejne rumiane larwy z łona, dawaj im z siebie ssać, niech cię pochłoną. Tym jesteś i z tego się nie wyzwolisz.

A plany, marzenia? Pewnie, każdy ma swoje, nie jesteś wyjątkiem, ale najpierw pomyśl o zarobku i leż spokojnie, dobra? Oni zaraz dojdą i będzie skończone, potem wstań, umyj się, kochaj.

Nie mów, że jest źle, skoro zawsze może być gorzej.

Przerażała mnie ta samonakręcająca się spirala jej beznadziei, to permanentne spadanie w siebie, rozmienianie duszy na łzy i nic więcej, ale byłem równie bezsilny i też wszystko wokół ciągle ciągnęło mnie na dno, nieodwołalnie. Jedyna radość, że tonęliśmy w tym razem, a powiem wam, że...

Tiriri-ri!

Tiriri-ri!

Nagle dzwoni telefon i historia zamiera jak widelec przed ustami.

Dobrze, już dobrze, później się nią zajmę.

Odbieram, wzdychając.

— Te, cze, Michał mówi. Ale nie anioł, tylko tutaj ten, no, eee, z wypożyczalni.

Jak ktoś każdą rozmowę zaczyna od „te”, to nie trzeba długiego namysłu, żeby rozpoznać go po pierwszej sylabie.

— Wiem. Czego chcesz?

— Nie będę owijał. Drugi dzień trzymasz znaczy się przetrzymujesz płytke z „Ostatecznym rozwiązaniem”. A klienci pytają.

— O to dziadostwo?

— O to samo. Się modne robi to biorą i się pytają. Jedna z niewielu rzeczy, co nie jest remakiem.

— Mogę podrzucić. Zaraz, która... Dziesiąta piętnaście? Matko, już... Ty siedzisz jeszcze w wypożyczalni?

— No, zostałem sobie trochę, na konsoli pykam, sprawdzam nowe filmiki, bo była dostawa.

— Dobra, będę do dziesięciu minut.

— Być to bądź, jak najbardziej, zapraszam, ale płytke się weź też postaraj przyprowadzić.

*

Wypożyczalnia „Celuloid” była w sąsiednim bloku. Dziesięć minut bym tam może pełzł, gdybym amputował sobie ręce, nogi i głowę.

Wszedłem, drzwi zaskrzypiały, za szkłem zostawiłem noc wprawdzie wczesną, ale w mojej wypaczonej wyobraźni już niebezpieczną, z potencjalnym błyskiem noża za każdym drzewem i krzakiem, z potencjalnym gwałtem na każdym spłachetku trawy.

Tu wszystko było jasne i klarowne. Usystematyzowane. Tysiące płytek z

filmami, uporządkowane alfabetycznie i przypisane do odpowiednich działów. Mnie najbardziej kręcił tak zwany underground. Kino dla porąbanych. Mimo że i w tej niszy łatwo było się naciąć, jak choćby z tym „Ostatecznym rozwiązaniem”, które miało nawiązywać do twórczości nieodżałowanego Adama Omegi, a w rzeczywistości okazało się nagraniem na komórkę wariacją na temat ucieczki przez ciemne korytarze, zakończonej wymiotowaniem do tabernakulum czy czegoś w tym rodzaju. Porażka w każdym megabajcie. Ale czego się spodziewać po reżyserze, który występował pod pseudonimem Obol Syn Abla, a na Naszej Klasie z dumą prezentował podkoszulki, na których święty Mikołaj pluł krwią i zdychał przybity do swastyki?

Michał siedział wpatrzony w ekran, gdzie kątem oka dostrzegłem prawdziwą kumulację kopulacji. Kończyny wiły się i plątały, członki penetrowały każdy otwór, jaki się tylko do tego nadawał, z ust wypływała raz ślina raz coś gorszego, na trzydziestodwucalowym LCD kompletnie nie do odróżnienia. W tle ktoś usilnie próbował wsadzić sobie w tyłek złamany maszt z amerykańską flagą.

— Przeszkadzam? — spytałem, nieco głośniejszym głosem niż miałem w planie.

Michał popatrzył na mnie z przerażeniem, jakbym przyszedł do niego nie z żadną płytką, a co najmniej z kajdankami i nakazem.

— Te, dasz wiarę, że to nie jest ten, eee, porno?

— No widzę właśnie, że film dokumentalno-przyrodniczy pod tytułem „Przysposobienie do życia w rodzinie”.

— Żarty żartami, ale to nie erotyka, tylko nowy francuski dramat.

— Że francuski, widać z horyzontu.

— Co chcesz? Był na oficjalnej selekcji w Cannes. Krytycy chwalili bezkompromisowość i grę aktorską. Dopatrywali się wątków antyimperialistycznych.

— Pewnie szło im o flagę. A może i maszt.

— Ty, ciekawe, czy w końcu on ją tam wsadzi... Ale zaraz, nie o tym miałem. Masz „Ostateczne rozwiązanie”?

Wyciągnąłem z kieszeni rzeczoną rzecz i mu rzuciłem. Złapał.

— Mówisz, że ci nie przypasowało?

— No... nie za bardzo... — Nie wiedziałem jak zwięźle ująć wszystkie zarzuty, jakie miałem do tego szajsu.

— To nie będę ci nawet proponował płytek, co je dziś dostałem.

— A są to?

— A są to: remake przeróbki trzeciej wersji „Teksańskiej masakry”, gdzie grają tylko sprzęty AGD i RTV, nowy film na podstawie prozy psa Stephena Kinga pod tytułem „Skowyt”, i dramat o transwestycie przekładającym twórczość T. S. Eliota na język Downa.

— Język Downa? — zdziwiłem się.

— No nie ma czegoś takiego, fakt faktem, ale reżyser wymyślił, żeby to były parsknięcia, kaszlnięcia, jęczenie, wrzask i pierdnięcia. Te ostatnie jako znaki przestankowe, z kropką w formie kształtnych bobków.

— Cudownie i smacznie.

— Co narzekasz? Ty przynajmniej możesz wcinać popcorn z Alicją przy ściemnionych światłach, pełen kurde romantyzm. A ja tu siedzę całymi dniami i ciągle się dziwię, że ktoś cokolwiek wypożycza, jak miesiąc przed premierą mógł ściągnąć z sieci razem z subtilesami, w wersji full HD.

— Niektórzy nie wiedzą nawet, jak ściągnąć stanik, to co się martwisz.

— Ale kiedyś się dowiedzą i dla mnie będzie wtedy finansowa padaczka, sznur i kaplica. W tej kolejności. Nie ma to tamto.

— Odległe czasy. Kiedy to będzie, nie wiesz ani ty, ani nikt. Mówią, że słońce też kiedyś eksploduje i wszystko zmieni się w piach i parę. Że kiedyś Wszechświat zgaśnie jak choinkowe lampki kupione na wyprzedazy. Wszystko kiedyś. A my tu mamy nasze blade i mizerne teraz, więc bierzmy i jedzmy z niego wszyscy, amen.

Michał aż wytrzeszczył oczy z wrażenia.

— Kurde, Sławek, ty masz nieraz takie gadane, że księża wymiękają.

— Księża mają ciasne koloratki, a ja swobodny przepływ słów przez gardło. Mówię, co myślę. Też czasem spróbuj, warto.

— Eee, pieprzenie. Raz powiedziałem, co myślałem, to mi Kryśka na to, że jak marzyłem o trójkątach, trzeba się było za trygonometrię zabrać. Taka prawda.

— No bo nie zawsze jest kawior.

— A pewnie, bo najczęściej szambo w pękniętej szklance.

Nie wiedząc już, jak go wykaraskać z tej nieustającej i narastającej z każdą sekundą frustracji, przeprosiłem za przetrzymanie płyty z wątpliwym arcydziełem i poszedłem stamtąd w cholerę.

Po powrocie do mieszkania szybko i niespodziewanie zasnąłem.

Trafiłem w sam środek dżungli. Korony drzew przypominały sklepienie świątyni. Zgarbiony staruch próbował jakieś księgi wytłumaczyć małpom, czytał bardzo wolno, każdą opowieść starał się wyjaśnić, aż w końcu te małpy rzuciły się na niego i w ciągu minuty zmieniły w krwawą miazgę.

Potem śnił mi się pałac.

I człekokształtna pleśń siedząca na tronie, w rdzewiejącej koronie.

*

Trzask drzwi. Alicja wraca.

Ciche kroki w korytarzu i oddech jak echo śmiechu, choć tu nie ma się z czego śmiać.

Potem kolejny trzask. Drzwi łazienki tym razem. I jednostajny szum wody.

— Wszystko dobrze? — pytam, stając w progu pokoju, z tą samą ością w gardle, która pojawia się zawsze, jak Alicja wraca z nocnej zmiany.

Tylko szum prysznica. Jakby głośniejszy niż przed chwilą.

— Jeszcze nie spałem — kłamię.

Nie odpowiada.

Za to ja mógłbym jej wiele powiedzieć.

Że przecież nie musi tego wcale robić, że zawsze czeka roznoszenie ulotek albo darmowych gazet, że może jakiś nowy portal będzie akurat szukał literaturoznawczyni bez doświadczenia na papierze, ale za to z wiedzą w postaci setek książek na karku.

Że tamto miejsce nie jest wcale częścią naszego małego, kochanego świata, ono jest obce jak przedmiot wymacany w mroku, który zawsze można cisnąć w kąt. Tam się tylko wchodzi od czasu do czasu, jak do poczekalni, gdy dowiadujesz się, że ten pęczniący guz na twarzy twojej matki jest jednak rakiem i ona umrze naprawdę, a wcześniej będzie tylko cierpiała, ale stamtąd zawsze można wybiec, odetchnąć powietrzem na zewnątrz, wtopić się w tłum, zjeść frytki, kebaba, hamburgera, łyknąć Pepsi albo Coca-Colę, móc wybierać między tą a tą, mieć takie możliwości, wyciągać dłoń i konsumować, zakryć tą całą przepaść ciuchem kupionym za grosze, których nie był wart.

Można wrócić do mnie i udawać, że nigdy nic się nie stało, wszystko jest przeszłością, a przyszłość jest jasna.

— Zrobić ci herbaty?

Język drętwieje mi między zębami.

nieznośna słuszość mizantropii

lampię się w stan konta, nie mogąc wprost uwierzyć we własne wniebowzięcie. podjaranie rośnie ponad miarę i czuję, jak już już mi staje, dosłownie nie daję rady, dosłownie nie wydalam, choć mówiąc w przenośni, ha ha, bo z jelitami mam przecież full komfort, a nie jak inni — przesrane.

uważnie przyglądam się liczbom i wiem, że nie kłamią, ich szczerość i prostota do mnie przemawiają, trafiając w samo sedno, bo one niczego nie chowają po rękawach, jak to ludzkie bydło, które co dzień osacza mnie zewsząd. każda jedna cyferka taka kształtna, taka zgrabna, szczególnie zera, co mówi się, że okrągłe, a gównu tam prawda, bo wcale zgrabne, choć jak ich nic nie poprzedza, to jest generalnie padaka, ale nie u mnie, nie nie, bo u mnie — szczęście boże i odpukać — inaczej. o tak, te zera idące seriami to wprost kocham, mógłbym je brać gdzieś na spacer czy zapraszać na kolację, przedstawiać starszej, przed ołtarzem przysięgać, że chcę z nimi być na dobre i na złe, i póki zgon nas nie rozłączy.

spójrz w oczy faktom, tomek, jesteś w chuj bogaty, jesteś śmietanka ekstraklasy, centralnie, jesteś elita pośród tej całej rozwrzeszczanej małpiarni. osiągnąłeś tak wiele w tak młodych latach. masz kaskę, fajną laskę, dużego małego, własne nie ciasne mieszkanie, się wysypiasz, się nie stresujesz, bo nie ma cienia ciśnienia ani w związku, ani w pracy, ani w żadnej kwestii, która twoja jest. ćwiczysz regularnie, systematycznie wypróżniasz kiszki, pęcherz i jajka, jesz smacznie, zdrowo i drogo. rośnie ci kłata, biceps, triceps i barki, najlepszą kreatynę wpierdalasz, przegryzając najnowszej generacji prohormonami. jebie cię stan państwa i problemy globalne, bo świat światem jak świat światem, nie inaczej, ale ty lubisz mieć nowy serialik, filmik, divx, xvid, rmvb, avi ściągnięty do folderu „oglądane” i lubisz, jak się z julką oddajecie całopaleniu marihuany tudzież haszu, do łóżka się następnie na jakieś seksi fikołeczki udając. tak, lubisz to, w porywach do kochasz nawet. jest przecież tak fajnie, a potem będzie jeszcze fajniej, by w końcu być najfajniej, no nie mam teraz racji?

w walce klasowej wyszedłeś z tarczą, się wzięłeś wywindowałeś, gdy reszta barachła na parterach została, w piwnicach jakichś, gdzie pajak za przeproszeniem mówi dobranoc. ach, dobrze jest, jak jest, a ci, co narzekają, powinni gnić w kryminale, przestępcy przekłęci, partacze, ta polska „ce” cała, własnym gnojem po pachy zawsze osrana.

zobacz, tomuś, co się porobiło, że w szkole to cię mieli za nic, zerem cię przezywali i dwunożną padaczką, misterem poracha, ministrem obciachem, a teraz ci sami by twoje hemoroidy całować pragnęli, gdybyś im dał, choćby tak na smaka. ale ty nie dasz, bo nie masz, bo na masaż anusia i okolic chadzasz do

salonu masażu „pałac palców” i jest ci non-stop fajnie, a tamci wszyscy oni, niefajni, źli, głupi, aktualnie w dno czołem walą, o masażach takich mogą w mokrych snach pomarzyć.

oj tak, patrzę na te wszystkie kwoty i chętnie bym się własnoręcznie zaczął dotykać w miejscu uważanym za nieprzyzwoite, ale się wezmę i nie dotknę, bo od tego jest przecież julka i „pałac palców”, i tysiąc innych mężczyzn i kobiet, a moje święte dłonie są do świętszych rzeczy przeznaczone, jak na ten przykład robienie przelewu z konta na konto i klikanie myszką „potwierdź”.

— ekhm, ekhm, panie tomku?

a co to, co się wyprawia? co za nagłe zaburzenia aury, cały dzień zburzony za jednym zamachem? kto mi bezczelnie włazi w biuro z butami, kto mi z feng shui robi jakąś małą rozbrykaną chinę cziku-czikulinę, bez cienia kultury i kurtuazji nawet, niech no zgadnę?

— o, panie pawle, a witam, witam, co porabiamy w ten jakże piękny jakże owocny poranek?

pan paweł szefuje portalowi, gdzie ja publikuję regularnie. jest to człowiek nieco otyły, choć bogaty. brzydki i z garbem, choć bogaty. niski na metr pięćdziesiąt, w porywach metr pięćdziesiąt pięć, a mimo tego jak już mówiłem w pizdu po prostu bogaty. dzięki własnej kasiorce portal postawił, ekipę wziął zebrał, rozkręcił wszystko pod względem ekonomicznym i medialnym. bez niego to by nie było to samo. to znaczy może by i było to samo, ale portal by się nie nazywał „szczerza prawda”, tylko na przykład „faktyczne fakty” i ja bym nie siedział tu w fotelu drogim, skórzanym, markowym, na ulicy głowackiego, lecz na szewskiej, karmelickiej lub brackiej.

— u mnie z każdą minutą coraz lepiej i sprawniej. czuję po kościach wzrost gospodarczy, sprzyjające giełdowe wiatry, nie będące bynajmniej zwiastującymi przykrą bessę pierdami. no i muszę się pochwalić nowo zdobytą pochwą, ha ha, sorki za żart słowny, ale humorek mam dziś na maksa, ha ha. bo przed zaledwie chwilką odbyłem w biurze udany stosunek seksualny, sfinalizowany obustronnym szczytowaniem.

— o, gratuluje, na zdrowie! kim jest ta szparka-szczęściarka?

— była! była, panie tomku, bo już myślę, już kontempluję i rozważam, że na jutro coś nowego trzeba będzie skombinować, nie wtryniać się dwa razy do tej samej cieczki.

— święte słowa, przenajświętsze nawet. w takim razie: kim była ta szczęściarka, co jej szczęście nieziemskie w postaci pana uciekło centralnie sprzed krocza?

— weronika z recepcji. i powiem panu, że 88-60-91, włosy naturalnie bez farby i dobry połyk, bez ani jednej kropli marnacji. przyzwoity model dla

jednorazowego zaspokojenia potrzeb tak zwanych cielesnych.

kurwa, pomyślałem, kurwa kurwa kurwa!

i szmata!

ja weroniki jeszcze ani razu nie miałem, a dziś to w ogóle nikogo, prócz julki, co się nie liczy, bo jest moja, własnościowa, pokrywana jakby z racji abonamentu, z automatu, od niechcienia. a wczoraj tylko patrycja czy może partycja, co też się nie liczy, bo za ledwie robiła mi ręką przez kwadrans, bez dogłębnej penetracji otworów ciała. tak to się nie bawię. tak to biorę grabki i z piaskownicy zaraz w troki spierdalam.

— dobrze wiedzieć, panie pawle. pan poleca, to jasna sprawa, że można się bezpiecznie i sympatycznie upłynnić za jakiś czas w takiej.

— a jak tam nasz dzisiejszy artykułik, panie tomku, są jakieś weny, muzy natchniuzy jakieś w duchu przygrywają?

— panie pawle, długo by gadać. pomysł generalnie wpadł mi zaraz po zbudzeniu, jak się akuratnie wypróżniałem, na moim drogocennym tronie z hydromasażem i zestawem fikuśnych elektronicznych hydrozagadek. ogólnie tak. ogólnie idzie o to, że skręcam na próbę tekścik o jednym gościu z bydgoszczy, co narodził się z ociekającego romantyzmem związku kobiety rasy polskiej i psa marki wilczur, to znaczy owczarek niemiecki, eee, znaczy się, który to pies — by sprawa nie była taka prosta — no więc który to pies jest dalekim potomkiem żołnierza wermachtu, a być może nawet miał w wermachcie centralnie wręcz dziadka. jeszcze dziś puszczam to w formie zajawki na forum dziennikarskie i się obluka, czy będzie odzew i poklask na stojąco, czy raczej generalna padaka i prącia nagły kolaps, wie pan sam, bo pan tam kiedyś też dawał na lewo i prawo, by wzięli i oceniali. jak będzie najzupełniej git i tamtejsze pizdy obojga płci pluć się nie zaczną, komentarze dając dobre i klikając same plusy dodatnie, to jeszcze wieczorem idzie rzecz na „szczerszą prawdę”, a jutro z rana nieśmiała wzmianka do radia. jak ciemny lud łyknie bez zagrychy, to następnie ekspresem kręcimy już o tym psim koleśiu pełnoprawny reportaż dla którejś telewizji. wcześniej oczywiście się zrobi casting, zarówno na gościa, psa, jak i na matkę, no i można by nawet, tak se pomyślałem, zrobić osobny casting na tego całego żołnierza wermachtu, którego byśmy w czerni i bieli na postarzonej taśmie pokazali ewentualnie, jak robi porządek z tym naszym polskim piekiełkiem, tym polskim całym bagnem.

— fajny projekt, panie tomku, arcyłudzki i arcyciekawy zarazem. proszę się za to raz raz zabrać. ja tymczasem już nie przeszkadzam, idę spytać sekretarki, czy wyraża uprzejmą chęć odbycia stosunku seksualnego, numerka szybciutkiego przerywanego, tudzież udania się na pyszniutki lancz, „wodorosty w bitej śmietanie a la zalew szczeciński”. a potem mamy kolejne arcyważne

zebranie w sprawie tego wielkiego przedsięwzięcia naszego superowego. no wie pan, tego ataku terrorystycznego na warszawę. bo ponoć jest już dwustu statystów do nagrań, ale coś ludzie od efektów specjalnych wtopili, że wybuchy wyglądają jak robione w programie „paint”; no ja nie wiem, za co im się płaci!

— ja też nie wiem, panie pawle, to przecież ewidentny skandal, full-frontalna kompromitacja.

— no i weź tu człowieku nagraj atak terrorystyczny, jak makieta warszawy stoi sobie cała i zdrowa, statyści w jednym kawałku, a wybuchy są takie, że nawet niemowlęta by się nie dały nabrać na to.

— skandal!

— racja. teraz jestem tak zły, że sekretarce to chyba zaproponuję symulację gwałtu, bo mam ochotę gryźć ją i drapać, i mieć nawet wytrysk w finale na jej ubranie.

— osobiście mogę z ręką na pikawce polecić panu gwałt w pracy, tak zwane molestowanie ekstremalne, co praktykowałem ze dwa czy trzy razy na własnej — że tak powiem — skórze. choć z moich skromnych doświadczeń wiem, że szkoda to robić w spodniach armani, bo odplamiacze to nie zawsze spierają, pizda jego nieuczesana.

będę miał ów fakt na bacznej uwadze. a teraz siup siup, do pracy!

no i wróciłem do swoich zajęć, to znaczy do tworzenia kolejnego symulowanego zdarzenia. bo prawdziwych wydarzeń w wieku dwudziestym pierwszym jak na lekarstwo, jeśli nie marniej. te wszystkie wojny i masakry, romanse gwiazd i ich burzliwe rozstania, choroby zbierające żniwo, finansowe przewalki, polityczne rewolucje i tak dalej, to my to wszystko bierzemy wymyślamy, za to nam płacą, powiem uczciwie, że niepoślednią kaszankę. gdyż w kraju, gdzie każde wstanie z krzesła obwołuje się zaraz powstaniem, a każde beknięcie rewoltą, a każde otwarcie butelki wódki z funflami politycznym przewrotem, dobrą jest sprawą szeroko pojmowany copywriting faktów. oczywiście tutaj niedoścignionym wzorem pozostaje tak zwany jedenasty, kiedy największe amerykańskie stacje przeprowadziły atak na makietę world trade center w skali jeden do jeden, a bonusowo nawet kaskaderom kazali z okien tej płonącej makiety skakać, co było megaryzykowne, a wręcz mogło być uznane za przegięcie pałki, pisiorkiem zuchwałe wywijanie wyłącznie dla szału i poklasku, ale jednak wiedzieli wszyscy jak długa i szeroka branża, że na dole była rozpięta dość jebutna siatka i każdy wyszedł bez najmniejszego szwanku. i to się okazało wielkie, podchwyciły szybko temat wszystkie kraje, poza oczywiście arabusami, którzy mieli błędną informację i kulejącą interpretację, że ten performance był sukcesem ich sztabu, świeć panie nad drogim osamą.

ale zanim napisałem kolejną elektryzującą partię tekstu, patrzę, że co.

no patrzę, że przyszedł mi centralnie mail, gdzie funfel z osiedla, taki jeden marek, do mnie uderza w te szokujące słowa, że ma bombę i czy ja chcę ją zdetonować, i czy na łamach naszego portalu, czy gdziekolwiek.

odpisałem, że dobra.

a on mi potem przysłał całą masakryczną litanię, co w niej w pierwszej chwili nie mogłem się ani połapać. o rany!

przegryzione kable zasilania

To wszystko nie dzieje się naprawdę, nie wierzę. Dusza musi być tylko koszmarem, który opętał ciało. Zmęczony światem, pijany światłem, wymyśliłem sobie to palące miejsce, którego wcale nie ma, bo w rzeczywistości to tylko ból fantomowy po czymś, czego nigdy nie miałem.

Trwa trudna do zniesienia stagnacja. Każdy dzień przynosi kolejną dotkliwą ratę, spłacaną korporacji Umieralnia za garść kości i mięsa wziętych na kredyt w chwili poczęcia. Nawet wtedy, przed laty, płynąc gorącą kroplą przez ciemną dolinę łona, choć zła się nie uląłem, byłem przeklęty, stracony. Trzeba mnie było poronić, albo chociaż wyskrobać.

Na takie właśnie tematy rozmyślam, pracując. Nie, nie jestem egzystencjalistą na etacie ani zawodowym narzekaczem na wszystko. Nikt mi za te smęty nawet grosza nie daje, one same płyną przez moją głowę, jakby to była jakaś klątwa, choć czasem bywa z tego powodu zabawnie.

Stoję na rogu Brackiej i jestem drogowskazem. To nie metafora. To moja robota. Jestem żywym drogowskazem, który najdroższych potencjalnych klientów naprowadza na najtańszy fast food.

Przebrany za hamburgera, w jednej dłoni trzymam tablicę ze strzałką, w drugiej fajkę.

Przechodnie patrzą na mnie z politowaniem albo uśmieszkiem pogardy. Są lepsi, wiedzą o tym. Cieszy ich, że ktoś może być aż tak żaloszny, aż tak wygłupiać się za pieniądze.

Z początku za bardzo brałem to do siebie, byłem zawstydzony, zażenowany. Zlany potem budziłem się ze snów, w których wszyscy mnie wyśmiewali, wytykali palcami.

Śnili mi się rodzice załamujący ręce nad moim nieuleczalnie tragicznym przypadkiem, głośno żałujący, że nie udało im się spłodzić czegoś choć trochę lepszego, choćby i syjamskiego mutanta, który by przynajmniej w cyrku mógł jakieś pieniądze zarabiać.

Śnili mi się dawni koledzy i koleżanki z liceum. Nie wiedziałem, co u nich, ale w tych koszmarach byłem pewny, że każdemu powiodło się znacznie lepiej niż mnie. Ta ceniona menager, ten pan prezes, ta lubiana aktorka teatralna, ten wirtuoz gitary, choć na przerwach tylko umiał coś tam brzdąkać niewyraźnie. Wszyscy pięli się w górę, a ja spadałem, waląc głową o szczeble raz za razem.

Przeszło mi dopiero po pewnym czasie. I wtedy było mi już wszystko jedno, że tak skończyłem. Myślałem tylko o Alicji i o tym, jak ona musi się poniżyć, żebyśmy nie poszli już całkiem na dno. Marzyłem o dniu, kiedy żadne z nas nie będzie się musiało wstydzić tego, co robi. To był jedyny powód, dla którego

mogłem jeszcze wstawać z łóżka i wychodzić z domu...

Przechodnie patrzą, potem odwracają wzrok i lecą dalej, załatwiać swoje superważne sprawy.

Uważnie przyglądam się ich twarzom, ze skomplikowanych sieci zmarszczek, gwiazdozbiorów piegów, czarnych dziur pieprzyków i przypominających komety skaz, próbując stworzyć w myślach mapę mieszkańców tego miasta. Ich myśli, uczuć, wspomnień, których przecież nie mogę znać, więc tylko wymyślam je na potrzeby własne. Nie będzie to mapa prowadząca do żadnego skarbu, nie będzie to mapa prowadząca do jakiegokolwiek wyjścia z sytuacji, w której się znalazłem. Raczej zwariowany Escherowski szkic, bazgroły we wnętrzu czaszki, mające urozmaicić te wszystkie nudne jak popiół godziny, podczas których wprawdzie wyglądam jak zwykły hamburger, ale to nie znaczy, że łatwiej mogę sam siebie przetrwać.

Alicja nie wychodziła z łazienki bite dwie godziny, więc w końcu zasnąłem. Nie słyszałem, żeby płakała. Siedziała tam cicho jak swoje własne truchło w szklanej trumnie kabiny prysznicowej. Pewnie znowu dręczyły ją te wątpliwości, czy warto się aż tak poświęcać, żeby jeść, pić, współżyć, oddychać. Bo nasza obecna egzystencja oferuje zaskakująco niewiele, tylko jakieś drobniaki brudne od obracania w dłoniach przez najbiedniejszych z biednych.

Łatwo wpaść w trans załamania, zafiksować się na własnych skargach, najczarniejszą rozpaczą przemalować wszystkie krajobrazy. Wiem, bo sam taki jestem — kolejny nawiedzony prorok osobistej zagłady, chodząca autodestrukcja rozpędzona ponad miarę.

Przecież nieraz odnoszę niejasne wrażenie, jakby z każdego drzewa zwisała pętla, za każdym rogiem czaił się kiosk oferujący żyletki.

Bywa, że to jest straszne. Bywa, że tylko śmieszne. Czasem coś pomiędzy. Horro-groteska.

Ale gdyby nie te czarne myśli, byłbym tylko pustą skorupą, wylinką po dawnym sobie.

*

Zapaliłem kolejną fajkę, z radością napełniając płuca trucizną.

— Papieros to niezła metafora, co? — odezwał się ktoś.

Podniosłem wzrok, wcześniej wbity w nieodgadniony fraktal gołębic gówien na chodniku.

Przedem stał mężczyzna wyglądający na trzydzieści parę lat, z lekko przetłuszczonymi włosami do ramion i obliczem kogoś, kto przeżył już tyle, że w żadnych ludzkich słowach nie dałby rady o tym opowiedzieć. Ostatnio coraz więcej było takich wokół, z trudem dźwigali brzemień własnego przeznaczenia.

— Metafora? Niby czego? — spytałem, próbując zdobyć się na uśmiech.

Czyżby trafił mi się ciężki oszołom?

Tamten chrząknął i podrapał się po policzku.

— Chociażby nas. Wszystkich. Bo patrz. Też trawi nas przecież jakiś wewnętrzny ogień, wypalamy się szybko i zmieniamy w dym, w popiół. Przez pewien czas niewidzialna dłoń jakiegoś zdrowo walniętego boga ściska nas między palcami. Raz za razem ten tam w górze zaciąga się i wysysa z nas to, co mamy najlepszego, najcenniejszego, i w końcu gasi w popielniczce, gdzie tlą się jeszcze resztki przodków. Tak, papieros to naprawdę trafna metafora.

— Jak tam wolisz — odparłem. — Ja tego nie próbuję uzasadniać. Po prostu sobie palę. Wystarczy. Jestem dymiącym hamburgerem i jestem z tego dumny.

— Nie, nie jesteś — zaśmiał się.

Zatkało mnie. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Po minie widzę, że ledwo się trzymasz. Wyglądasz jak oparcie dla własnego cienia.

Mówił, jakby wiedział o mnie wszystko, miał jakiś rentgen w oczach, którym przeświecił mnie na wylot.

— No i może tym właśnie się stałem. Może tym zawsze chciałem się stać — próbowałem sam siebie uspokoić, choć brzmiałem niezbyt przekonująco.

— Puszczasz sygnały dymne i myślisz, że ktoś je odczyta. A od horyzontu po horyzont sami analfabeci.

Nie miałem pojęcia, o co może mu chodzić. Nudził się, że go naszło na wielkie analizy, czy to tylko kolejny ankieter od siedmiu boleści? A może jeden z tych frajerów, którzy za niewielką opłatą nauczą cię wiary w siebie, pchną w objęcia pozytywnego myślenia?

Parę sekund spędziliśmy w milczeniu, a ja marzyłem, żeby poszedł, dał spokój.

— Marcin — rzekł w końcu, podając mi dłoń.

— Sławek — odparłem.

— Mam nadzieję, że nie weźmiesz mnie za jakiegoś sekciarza, ale chciałbym ci coś pokazać.

A, czyli pewnie mormon albo inny świadek Jehowy. Jeśli nie gorzej.

— Bez obaw — powiedziałem, żeby tylko mieć już to z głowy i wrócić do swoich wewnętrznych monologów, samobiczowania się w pełnym wymiarze mocy.

Wyciągnął z kieszeni kilkustronicową broszurę i wręczył mi.

Byłem zaskoczony, że chce mu się tracić czas na dyskusje z hamburgerem. Zazwyczaj ci, co dobrowolnie się do mnie zgłaszają, liczą, że dam im parę groszy na wino marki wino i wystarczy. Dziwią się, jak mówię, że zarabiam tu cztery pięćdziesiąt za godzinę i sam mógłbym zacząć żebrać, bo każdy menel da radę

uzbierać kilkakrotnie więcej. A nie robię tak tylko dlatego, że mam jeszcze strzępy godności, choć godność w strzępach tyle warta, co żadna. I tak mam teraz lepszą sytuację niż kiedyś, znacznie lepszą.

Pamiętam jak w zeszłym roku pracowałem na pół etatu w salonie masażu „Pałac Palców”. Elegancko, tylko od osiemnastej do dwudziestej drugiej, więc pełen relaks. Z początku nie wydawało się to takie złe, i jeszcze ta monstrualna stawka trzydzieści złotych na godzinę plus napiwki. No ale potem okazało się, że słowo „masaż” potrafi być dla niektórych zbyt wieloznaczne. Bo były baby, które żądały, bym masował dłońmi i językiem ich zwiędłe piersi, i musiałem, klient ma zawsze rację. Bo byli faceci, którzy chcieli, żebym im robił malinki i ssał palce u stóp, i też nie mogłem odmówić, bojąc się, że szefowa wyrzuci mnie na zbity pysk. Ale jak jeden obleśny staruch zaproponował, żebym za stuzłotowy napiwek zrobił mu loda, powiedziałem: dość.

Patrząc z odpowiedniej perspektywy, bycie drogowskazem dla sieci fast foodów to całkiem przyzwoita posada, choć gdyby nie zarobki Alicji, pewnie żywilibyśmy się odpadkami i mieszkali w kartonie...

Spojrzałem na broszurę, próbując grać zaciekawionego, bo ten cały Marcin jakoś nie chciał odejść.

Była tam mowa o ucieczce, czy czymś podobnym. Ucieczce z więzienia rzeczywistości. O odnalezieniu drogi w dobrą stronę. O porzuceniu ograniczeń, podążaniu za marzeniami, wykluciu się wreszcie z kokonu, który nas więzi od chwili poczęcia.

Nie różniło się to specjalnie od ofert różnych prywatnych „kościółów”, otwierających ostatnio coraz więcej filii w naszym kraju. Raczej nie dla mnie. Ale sam Marcin wydał mi się interesującym przypadkiem. Od razu wiedziałeś: on nie jest z tej nieprzeliczonej armii zombie, plądrujących miasto dwadzieścia cztery godziny na dobę, łasych na mózgi, bo nie mają własnych.

— Założyliśmy sobie niewielką grupę wsparcia i dziś mamy spotkanie. Powinieneś wpaść. Będzie ciekawie.

— Czemu akurat ja? — spytałem.

Nie miałem przecież wymalowane na czole, że potrzebuję natychmiastowej pomocy duchowej, mentalnej reanimacji.

— Bo stoisz na rozstaju. Trzymasz drogowskaz, wskazujący kierunek, w którym nie masz zamiaru podążać. Przebierasz się za sztuczną bułkę z mięsem, ale wiem, że pod spodem kryje się prawdziwy człowiek z duszą. I naprawdę chcesz się wyrwać na wolność z tej wszechobecnej nędzy... A poza tym będzie trochę darmowego żarcia i picia. Nie mamy w zwyczaju debatować o suchych pyskach. Więc jeszcze raz zapraszam.

Wiedział, jak uderzyć, żebym poczuł najboleśniej. Od pięciu godzin nie

miałem w ustach nic poza wczorajszym obwarzankiem, smakującym jak zeszłotygodniowy.

— Zobacz się — odparłem dla świętego spokoju. Może to i był ciekawy człowiek, ale w tej akurat chwili nie miałem głowy do „ucieczki z więzienia rzeczywistości”. — Gdzie to w ogóle jest?

— Już ci mówię. Na pewno trafisz...

inna bajka

z tym markiem to się generalnie musiałem spotkać w cztery gały, bo nie chciał przez maila czy esemes nic a nic pisać bardziej konkretnie, o co chodzi i w czym cały sztapel.

że bomba, że dynamit, że hiroszima nagasaki dachau, to był pierwszy pisać i chętny bredzić, całymi litaniami, ale żeby potem puścić konkretną parę, to nie. to nagle zamilkł i tylko osobiście chciał się widzieć i osobiście wszystkiego dopilnować, co i jak.

zgodziłem się, choć w sumie z tym markiem to miałem jedno megaprzykre doświadczenie z dawniejszych dni, które powinno mnie raczej na nie względem niego ustawić już na wieki wieków. znaczy niby on jest moim takim sąsiadem i niby jesteśmy nie tylko na „dzień dobry”, ale wręcz na „cześć” lub „hełoł”, w porywach do „szapoba”, prawda, fakt faktem, ale ma koleś pewną taką niesympatyczną cechę, by nie rzec przypadłość, co ja o niej z początku nie wiedziałem. do czasu.

bo tak. bo kiedyś on mnie zaprosił na kolację do jednej takiej restauracji. żebyśmy sobie urządzili małe integracyjne party, jak jesteśmy w sumie z jednej bajki, z jednej klatki, z jednego centralnie korytarza, i będziemy obok siebie mieszkać raczej przez dłuższy niż krótszy okres, więc warto się lepiej poznać, zaprzyjaźnić, pogadać po prostu o sprawach. o różnych kwestiach, które człowiek porusza w rozmowie z drugim tak zwanym człowiekiem. generalnie byłem wtedy na tak. a co mi szkodzi, myślałem, co mnie zbawi poświęcenie godzinki na kontakt towarzyski z osobą tej samej płci. w końcu i ja, i marek jesteśmy przy grubszej flocie, mamy te swoje nieprzeciętne dupencje, które posuwamy na tyle głośno, by każdy to słyszał za ścianą, lubimy też przystawać na propozycje dotyczące wymiany tak zwanych partnerów seksualnych, więc kto wie, czy za tydzień dwa nie zajdzie sytuacja, że ja na ten przykład będę robił fajną minetę tej jego andżelice czy innej anielce, a on tymczasem będzie wysysany przez julkę do ostatniej kropli, no kto to wie, duch boży może, syn święty? i jego stary chyba jeszcze ewentualnie, jeśli w ogóle.

to poszedłem z nim na tamtą z pozoru wyczesaną kolację, drobny taki meeting, by się zafunflować jak rodzeni bracia. tylko my dwaj, bez owijania, bo męski wieczór i męskie sprawy, rozmowa o piłce, o modelach wiertarek, modelkach z rozkładówek, o rodzajach banknotów i odpowiednim kojarzeniu ich w pary, bo nie wiem, czy wiecie, ale jak ktoś za rachunek dziewięćdziesiąt zeta płaci dwoma pięćdziesiątkami, to jest to kurwa obciach i siano wyjeżdżające żywcem z gaci. no centralnie. bo przecież istnieje niepisana zasada, co ją już dawno wyczaili styliści od szeroko pojętego spędzania wolnej kasy, że bulisz

zawsze nominałem jak najbardziej zbliżonym do żądanej kwoty. czyli w tym wypadku, wyżej wymienionym znaczy się, to będzie sto zeta, żeby nie było żenady i mordy ze wstydu bordowej jak barszcz zwyczajny, z gratisową parą białych uszek po bokach w najlepszym razie.

ale idźmy dalej, jak już rozpędu nabieramy.

poszliśmy do tej tam całej, no i już przed wejściem naszedł mnie trudny do opisania lęk i bolesny ścisk pośladków. sądziłem jednak, że nie idzie o żaden konkretny, tylko raczej o egzystencjalne takie sprawy, przyrodzoną rozpacz każdego człowieka, łkanie i bek wewnętrzny, niebo stojące w płomieniach, bóg ojciec daje mi po razie centralnie z armatki wodnej w twarz. i potem nie zachowałem elementarnej czujności, jak w szatni nam babka prócz numerka dała takie dziwne jakieś zatyczki do nosa, choć wtedy już mogłem spierdalać w cztery troki, bo że coś się święci, jakiś gorszy przekręciak, toby nawet kret zauważył, nawet nietoperz, nieopierzona jęgo mać pomiędzy niewiastami.

i oczywiście, że tak.

to była restauracja urządzona z jednej strony w stylu retro, wszem i wobec cenionym, zaaranżowana ze smakiem, ale z drugiej tak zwana „przyjazna koprofagom”. co później już ewidentnie wyszło szydło, że marek do tej grupy, bądź co bądź społecznej, należy i się dumnie zalicza i że chciał mi przedstawić po prostu swoje upodobania w kwestiach spożywczych oraz erotycznych zarazem. więc w tej knajpie faktycznie jechało tak, że jakby nie zatyczki, to bym chyba zaliczył centralnie zgon, padł tam jak szóstka w lotto, pawiując na lewo i prawo wielobarwnym wymiotem o wysokiej rozdzielczości. no a w łóżach siedzieli goście zajadający gówna i gówienka prosto z misek i talerzy, uśmiechnięci od ucha do ucha, popijający ten szajs moczem z kufli od piwa. że był ten jasny trunek moczem bieżącego rocznika, to domyśliłem się w try miga, widząc, że każdy może sobie nalać odpowiednią ilość z dystrybutora, który stanowiły trzy parki w składzie: goły facet i goła baba, nieustannie żłopiący wygazowaną mineralkę, żeby odpowiednią ilość szczyń potem dostarczyć klientom na zawołanie.

prawdziwy komediodramat. ale ostatecznie postanowiłem stamtąd nie brać dłużej, w końcu jestem osobą nowoczesną, czytaną i tolerancyjną, postępową wobec pedofilii, nekrofilii czy też transwestytów w sutannach, a jak ktoś lubi taki szajs wpierniczać, to na zdrowie i szczęście boże, i niech apetytu nigdy nie traci.

usiedliśmy zatem. kelner przyniósł menu, od zawietrznej ostro poszło szambem po powonieniu, ledwie uszczelnionym tymi całymi zatyczkami, więc nie całkiem przez to nieczułym bynajmniej. a w tym menu oczywiście głównie gówna, to musiałem koniec końców oddać głos na ratunkową opcję, filet z kurczaka i frytki z majonezem, co było ewidentnie krępujące, bo to najtańsze danie w karcie i tym samym przeznaczone dla plebsu, dla bezdomnych i

bezrobotnych, którzy w kanalizacji miejskiej takie rzeczy na grillach sobie ewentualnie przysmażają. marek z kolei wziął miskę świeżych bobków owczych zapieczonych z oscypkiem i szklanę tak zwanego „grzańca”, który okazał się oryginalnym nasieniem zwierzęcym ocieplanym w mikrofali. serialnie, bez cienia w tym momencie przesady.

no to wiecie teraz, czemu z tym koleśmiem mi się nie widziało widywać i nie do końca po drodze nam było, po takich traumatycznych przejściach, jakie ewidentnie zaszły.

ale pogoń za sensacją okazała się silniejsza niż ulotna woń wspomnień, więc umówiliśmy się na spotkanie w rzeczonyj sprawie, która dla mnie pozostawała na razie niejasna, choć zapowiadała się na grubego kalibru rewelację.

miejszem całej akcji i punktem jej zawiązania — za obustronnym poparciem — wybraliśmy knajpę „pod mocnym menelem”. znałem ją i ceniłem, miała dobre recki w fachowej prasie, odwiedzali ją nawet goście z zagranicy, bo dla niektórych to była nowość i bomba, i picuś glancuś.

już opowiadam, co dokładnie i jak.

przy wejściu trzeba najpierw kupić tak zwane „żetony pięciozłotowe”, którymi się w lokalu płaci. one autentycznie przypominają pięciozłotówki, co różni żule mają takich pełno po kieszeniach. jeden żeton wychodził pięćdziesiąt zeta. potem w szatni zostawiało się własne ubranie, a w zamian za stówkę — dwa żetony — dostawało komplet łachmanów. chyba że ktoś dopłacił jeszcze trochę, to mógł mieć nawet upaprane błotem i poperfumowane „denaturatem nr 5”, naturalnym zapachem wyrobu spirytusowego, sprowadzanym ponoć całymi flakonikami z paryża, liniami air france, pierwszą klasą. ale ja nie chciałem przeginać siusiaczka, to wziąłem same szmaty, jeszcze świeże, ze wszami i mchem — to już jako bonus, najzupełniej gratis.

w środku wystrój prawdziwej speluny. dym tanich fajek szczypiący w gały bardziej niż szampon z najniższej półki. prasa brukowa zamiast tapet: „rzycie na gorąco”, „schorzenia gwiazd”, „sonda ostateczna”, te klimaty. wynajęci aktorzy ucharakteryzowani na klasę najniższą, z przekonaniem bełkoczący o ciężkiej pracy w fabrykach, o bazie i nadbudowie, podwyżkach cen węgla i chleba. plus jeszcze kobiety z doklejonymi wąsami i warstwami tłuszczu wiszącymi ze specjalnie zaprojektowanych pasków, tudzież z symulowanymi ciężarami mnogimi, bo nie wiem, czy to dostrzeżliście kiedyś, ale jak żona menela zajdzie, to od razu rodzi miotem: po sześć, osiem sztuk, cały od razu promocyjny pakiet, cała zgrzewka bezrobotnych i skazanych na recydywę od chwili puknięcia plemnika w jajko.

rozgościliśmy się z markiem przy barze, zamówiliśmy każdy po kuflu piany i ścieżce fety, żeby się łatwiej rozkręcało konwersację. browar stał po jednym

żetonie, amfa po dwa, czyli generalnie stówkę za setkę proszku, no zdzierstwo, kolejny rozbiór polski w biały dzień, ale za najpodlejsze dragi tak się nieraz buli, dwa „żetony pięciozłotowe”, co normalnie mogę mieć za to drink energetyczny z adrenaliną i wyciągiem z przysadki, taka to mi wielce okazja, wielce nagle wyprzedaj.

po wessaniu ścieżek centralnie do przewodu nosowego i natarciu resztkami dziąseł, jak było w zwyczaju, po łyknięciu pół kufła szczytnymi zalatującego alko, marek zaczął nawijkę, już bez cienia zwłoki i dalszego owijania.

— nie było sensu pisać w mailu ani esemesie, bo się bałem, że ktoś to obluka wcześniej niż ty sam, hakerska szumowina jakaś, i będzie cała akcja zjebana od startu. a jest to rzecz wielkiej wagi i można z tego wytrzepać nieletką kaszankę.

— ale że wtedy jak? — spytałem, bo w takie konfidencje i podchody od dawna nikt się ze mną nie bawił, mimo że robiłem w branży, gdzie podobne rzeczy powinny być na porządku dziennym.

— że teraz tak, że ja się dowiedziałem o jednej sprawie, co o niej żadne media jeszcze nie wspomniały nawet. a jest to tak w pytę ciekawe, że idzie paznokcie obgryźć do kości, tego słuchając.

zatkało mi centralnie kakao, po takiej jego inwokacji. i mojego podjarania nie zaburzył nawet fakt, że ktoś siedzący obok zaczął napierdalać nagle w dekiel narodowej martyrologii, opowiadając swoim przyjaciółom o tym, że jesteśmy już pod piątym z kolei zaborem, z którego się nie wykaraskamy, jeśli naród wreszcie nie przejrzy na oczy. na co ktoś drugi odparł, że przecież rządzą ci, na których tyżeś, waclaw, głosował. i wtedy ten cały waclaw wrzasnął, że gdyby wiedział, iż tamci nie są rasowi polacy, nie są nawet z dynastii piastów, lecz najwyraźniej poczuci w trzewiach obcego mocarstwa, to by kurwa prędzej zjadł kartę do głosowania, niż złodziejom, ateistom, pedałom, komuchom udzielił poparcia.

starając się szybko zapomnieć o budzącej strach wizji eksterminacji nas wszystkich przez bliżej niezidentyfikowanych zaborców, rozglądając się nerwowo gdzie popadło za agenturalnymi mackami, powiedziałem:

— no to gadaj, marku kochany. ale się dość tak streść, bo mi feta bardzo fikuśnie siadła i mam wrażenie, że tamci trzej kolesie... nie patrz, nie patrz teraz, pizdeczka jasna, bo oni patrzą! no że tamci trzej, od paru minut nas lustrują i mogą to być jacyś agenci, by nie powiedzieć: szpiedzy obcego mocarstwa.

mówiłem zgodnie z faktami, gdyż coś takiego właśnie zachodziło, a ja to teraz widziałem zaocznie, by nie powiedzieć: kątem oka.

— niby jakiego?

— no obcego, wyalienowanego względem nas, zdrowych normalnych ludzi, żyjących chwilą z dnia na dzień, mówię, czy wyraźnie, czy do chuja pana nie

słyszysz, co do ciebie rozmawiam?

lampił się na mnie, jakbym jeździł teraz co najmniej na sankach po plaży, w kombinezonie astronauty przy pięćdziesięciostopniowym upale.

— z obcej gromady galaktyk, równoległego wymiaru — próbowałem wyjaśnić. — są to agenci ichniego urzędu, specjalnego organu, specjalnej takiej macki, centralnie nam penetrujący w tym momencie społeczeństwo obywatelskie. nie słuchałeś, jak jeden taki ultrakatolicki prawicowiec, który jest zresztą nawróconym proaborcjonistą ateistą lewicowcem i z darwinizmu przeszedł na eskapizm, no wiesz, ten franek cały czy maurycy, czy wręcz święty paweł z damaszku, w telewizji gadał? no ten, co to szukał w swym okresie układów nawet w prehistorii, wręcz wziął zatrudnił archeologa eksperta, byłego milicjanta zresztą, żeby mu sprawdził, czy któryś brontozaur swego czasu nie był lojalką związany z ub, urzędem brontozaurów. bez ściemy teraz, bo to może być widać, bo takie rzeczy rozchodzą się po kościach, tylko trzeba je najpierw wydobyć, te znaczy się kości, przebadać izotopem cl4, jeśli nie gorzej. i on mówił...

— co?

na moment straciłem wątek.

wydało mi się, że tak jakby jestem w wagonie, ale on się wykoleił, zjechał na boczny tor, potem do tunelu, na końcu którego było małe światełko. potem to światełko zrobiło się czarne, a potem jeszcze zrobiły się go dwa naraz i zrozumiałem, że to nie żadne światełka, tylko źrenice marka, co tu się z tego tunelu wyłonił ku mnie z twarzą, zarostem i resztą cielesnego majdanu.

więc mogłem rozmawiać dalej:

— o tym, że prawdopodobnie dochodzi teraz do penetracji każdego z nas sondą analną centralnie w dupę podczas snu i nawet na jawie, bo ci kosmici, to oni się nie pierdolą tylko wjeżdżają w majty bez cienia wazeliny, taka akcja! u nich nie ma nad tym żadnej kontroli, cba, cbś, nfz, każdy szpieguje każdego, matka własnym dzieciom zakłada podsłuch w formie kolczyka i kamerę termowizyjną pod postacią termometru do mierzenia gorączek, wkładanego w którykolwiek oczodół, a te są u nich mnogie, co potwierdzi każdy naukowiec. ojciec rodzony synowi rodzonemu robi test na szpiegostwo, pobrawszy krew i nawet bardziej zboczony materiał genetyczny z któregośkolwiek prącia...

znowu zapomniałem, do czego to wszystko zmierzało, a na dodatek miałem wrażenie, że słucha mnie już cała sala, się w duchu brechtając na maksa. więc słabo mi się zrobiło i wyszeptałem tylko:

— no ale zaraz, czekaj, mów ty, mów ty teraz, bo się tamci już odwrócili. ci oni. i nie mogą czytać z ruchu warg, co przed chwilą praktykowali na szeroka skalę.

westchnął ciężkavo, jakby mu na żołądku zaległ co najmniej beton.

— doszło do zbrodni. prawdziwej, nie żadnej ściemnianej.

— niby jak prawdziwej? jakiej nagle prawdziwej? nie ma żadnych prawdziwych, od dawna, wręcz od wieków. w to nie dam cienia wiary. tak samo jak mówią ci różni tacy owacy, że kiedyś na ziemi rosły drzewa, autentyki z liśćmi i korzeniami, a nie te plastikowe sztuczne drzewa, podlewane sztuczną plastikową wodą z puszek. ale w tym sęk, że już nie ma drzew i skąd ja mam wiedzieć, czy to całe niby wcześniej, to nie tylko ichni proekologiczny marketing i zarządzanie?

— weź nie pierdol, bo mnie smutek bierze i dół się w duchu sam kopie, mnie w siebie wrzucając. weź nie... bo ostatnio zasadziłem takie w pytkę drzewko i mi teraz nie gadaj, że kiedyś mieli lepsze i z autentyczną metką matki natury. za to dałem pięćset zeta plus pięćdziesiąt za plastikową rosę w formie osobnych kropel. weeee... robisz teraz naprawdę nefajny klimat, to mek.

— no to mówże, nie pierdol też pięć po pięć, o tej całej zbrodni, bo jak mi fazka zejdzie, to cię słuchać, to za tobą nadażyć, to będzie niemożność.

— jest prawdziwa najprawdziwsza zbrodnia, samorodek medialny. i na jej dowód są nawet autentyczne zwłoki z autentyczną krwią z autentycznych żył i takich też tętnic. ofiarami są staruszek emeryt z kompletnego marginesu, żyjący na niestrzeżonym osiedlu i w mieszkaniu trzydzieści metrów na krzyż, co jest kurwa śmiech na sali i tego śmiechu tygodniowa echolalia, oraz kobiecina, z tego samego osiedla, z tego samego bloku, z tej samej klatki, równie biedna jak mysz pod mopem. on miał poderżnięte gardło, a ona równie poderżnięte, plus jeszcze podcięte żyły na nadgarstkach, jakby dla pewności, że stuprocentowo się wykrwawi tą swą autentyczną oryginalną krwią... markową.

— i skąd ty takie owakie nagle legendy miejskie znasz i mi opowiadasz? — zdziwiłem się, myśląc, czy to wszystko, co dzieje się teraz, nie jest aby jakąś psychodeliczną jazdą, gdy prawdziwy ja tymczasem siedzi w jakiejś knajpie w buenos aires, podziwiając modny kształt swych własnych paznokci, między jednym przelewem a drugim.

wszystko to brzmiało zbyt nierealnie. jak jakaś komputerowa symulacja pod tytułem „teraz”. więc nawet sprawdziłem, czy nie mam na uszach słuchawek, ale nie, nie miałem. ani dżojstika w łapie.

— zakolegowany pies puścił mi cynk, bo wie, że znam paru tak zwanych dziennikarzy i copywriterów, i można z tego zbrodniczego aktu wydoić trochę floty, o czym na starcie wspomniałem od razu, bez zająknięcia.

— kiedy to się zdarzyło?

— ciała znaleźli jakiś czas temu, nie wiem, dwa trzy tygodnie, może więcej. ale je skitrano pod policyjną ladę od razu, nim się ktoś połapał z zewnątrz, nim

zwinęto świadków w kaftany. jeszcze ciepłe. te zwłoki, znaczy. by były na potem dla portalu, telewizji, gazety lub czasopisma. a najlepsze... — tu zamiast kontynuować dostał czkawki i mnie kurwica przenajcięższa zaczęła już brać, czemu takie rzeczy wyprawia, czemu mi zawiesza fabułę, jak ta się zaczyna robić nie do oderwania słuchu i wzroku.

— co najlepsze? do matki nędzy, gadaj, pókim jeszcze w miarę na białym i we wszystko ci dają ślełą wiarę, choć w dni robocze mędrca szkiełko i oko bardziej do mojej duszy przemawiają, bardziej są bliskie prawdzie.

— no najlepsze, że złapali też sprawcę.

— e?

— no normalnie. po ludzku. czy tam po policyjnemu. popełniwszy czyn karalny z art. 148 kodeksu karnego razy dwa, wyskoczył był przez okno, licząc zapewne na rychły zgon, co w praniu nie wyszło, ale za to będzie sparaliżowany z góry na dół do końca życia.

— o ja cież nie mogę! — się wziąłem i podekscytowałem już do granic powariowania.

— no. i oni go teraz mają gdzieś na dołku, choć wcześniej kiblował w szpitalu na rekonwalescencji i farmaceutykach, po uszy chemią usmarowany. i on takie rzeczy niestworzone pierdoli podobno, że musisz tam sam iść i to wszystko se weźmiesz spiszesz, żeby nie było ani słowa marnacji w tym temacie.

przyklasnąłem w myślach. pomysł tak mi podszedł i tak mi wziął siadł na psychę, że zamówiłem markowi i sobie jeszcze po jednej królewnie ścieżce i siedem szotów wódki.

— czyli wynika, że jakiś autentyczny gość autentycznie zabił dwie osoby i to nie jest akcja medialna żadnego copywritera, tylko zbrodnia jak się patrzy, zbrodnia a nawet kara?

— jak się patrzy. krew zamiast keczupu, trupy zamiast pozorantów i zabójca, który nie przechodził żadnych castingów, żadnych szkoleń wcześniejszych i ten tego, a nie ma stuprocentowo nawet cienia aktorskiego wykształcenia.

— nie terminował w żadnym medium, nie grał nawet trzecich planów w polskich serialach tasiemcowych z dupy wziętych?

— na bank, że nie.

— słowo?

— słowo, honor i ojczyzna.

— no toż kurwa jego matka!

takiego dostałem ciśnienia, by coś szybko zdziałać, że wstałem, usiadłem i zacząłem walić piąchami w kolana, jakby to był teraz zestaw perkusyjny „mały bębniarz”.

— dokładnie — odparł marek i znowu dostał na moment czkawki. — i co, nie mówiłem, hiii-iiip, że bomba, że dynamit, hiroszima nagasaki dachau?

— dy-na-mit, przyznaję...

— i co?

— i jeszcze jebnie jak mu zagramy.

msza dla mszyc

Po wielu godzinach bycia hamburgerem, po całym nudnym i żmudnym dniu bycia apetyczną choć apatyczną rzeczą samą w sobie i samą dla siebie, wróciłem na kwadrat. A tam cicho, jakby nikogo nie było. Jakby wszystko, co było, załadowało w żyłę pełną pompkę heroiny i śniło w najlepsze, mnie mając co najwyżej w głębokim poważaniu.

Ale ktoś jednak był.

Alicja.

Przed telewizorem, nastawionym na jakiś nieistniejący program. Gapiła się w śnieg zakłóceń jak zahipnotyzowana.

Siedziała tam z takim wyrazem twarzy, jakby w duchu tęskniła za prawdziwą zimą, zamieciami i mrozami, które ścinają krew w żyłach. Z ustami nerwowo przygryzionymi, jakby gdzieś w środku, głęboko, po jej kręgosłupie wspinał się podskórny strach, roztrzęsiony blady chłopczyk i pukał monotonię w dno czaszki, dopominając się o swoje.

Stałem obok.

Nawet nie zwróciła uwagi.

Chrząknąłem.

Milczała, nie odwracając głowy.

— Nic ciekawego dzisiaj — powiedziałem.

Milczała dalej. Śnieg mienił się na ekranie i wiedziałem, że gdybym dłużej się w niego wpatrywał, zacząłbym widzieć rzeczy, których mi teraz brakowało, wszystkie te urojenia, które moja wyobraźnia wyłowiłaby z morza czarnych i białych kropek.

— Znaczy się niezupełnie. Bo niby brałem udział w pościgu i strzelaniu, napadzie na bank i transfuzji krwi. A potem na Plantach znalazłem meteoryt i sprzedałem go na allegro za pół miliona, więc jesteśmy ustawieni na całe długie lata, możemy się wybrać do Monaco albo Saint-Tropez, tylko musimy zdecydować, czy jachtem, czy lepiej prywatnym odrzutowcem... No, to tyle u mnie. A co u ciebie, skarbie?

Przez moment starała się chyba uporządkować w głowie te słowa, które właśnie padły. Potem popatrzyła na mnie przerażona. Jakbym był zapalonym piromanem, co to wpada tu z koktajlem Mołotowa na szczerozłotej tacy i zamierza wszystko raz na zawsze zakończyć, przetłumaczyć języki ognia na język zrozumiały — polski.

— Jesteśmy martwi, Sławek. Oboje — wyszeptała i zbladła, jakby to zdanie stało się ciałem, jakby nasz zgon automatycznie stał się faktem.

— Ej, no co się dzieje? — spytałem, próbując ją przytulić.

Odsunęła się ze wstrętem. W tak złym stanie nie widziałem jej od dawna.

— Umarliśmy. Ja umarłam. Coś we mnie zgasło. Kiedyś ciągle malowałam i pisałam, wiesz? Jak nawiedzona. Nie wiesz, bo skąd miałbyś. Dużo tego było. Ze dwa grube tomiki by się uzbierały. Wielka sterta kretynizmów. Wierszy, których nikt nie przeczyta, piosenek, których nikt nie zaśpiewa i obrazków, które nikomu nie wpadną w oko. Pierwszy zatytułowałam „na marne”, a drugi: „po nic”. I tylko to było wtedy prorocze.

— Nigdy wcześniej o tym nie wspominałaś — wtrąciłem, ale chyba nie słyszała, albo nie chciała słyszeć.

— Nie wiem, na co liczyłam. Beznadziejna, naiwna... Chociaż wtedy przynajmniej czułam się żywa... Najbardziej udany tekst wysłałam nawet do jakiegoś pisma. Odpisali, że opublikują, ale nigdy nie wyszedł. Potem w porywie głupiej rozpaczki wysłałam cały zbiór do jakiegoś wydawnictwa. Odpisali, że ciekawe i że wydadzą, ale wcześniej zbankrutowali. No to ja w jeszcze bardziej idiotycznym zrywie puściłam to do trzech kolejnych, ale nikt się nie odezwał. Teraz nie piszę, nie maluję. Przecież mam pracę, to znaczy: dojrzałam, spoważniałam, ustatkowałam się. A po takiej robocie coś nabazgrać czy naskrobać, to ciężiej niż tworzyć poezję po Oświęcimiu. Zresztą i tak zawsze byłam zbyt bezbarwna na artystkę... Ty kojarzysz w ogóle, kto ostatnio rozkręcił największą karierę?

— Kim Kardashian? Paris Hilton?

— Nie, nie. Chodzi o wiersze, o poezję. Nie wiesz, bo skąd miałbyś. To słuchaj. Taki jeden koleś, Dawid jakiś tam. Tworzy turpistyczne haiku, jedno miesięcznie, nie więcej. Podobno niezbyt udane, czasami grafomańskie i pretensjonalne, ale liczy się oryginalność. A on pisze je na najdelikatniejszym pergaminie zrobionym ze skóry zdjętej z ludzkich embrionów. Bo ma kumpli w klinice, kumpli w telewizji, prasie i radiu, koleśi rozsianych po sieci. I za taki jeden strzęp bierze do dwudziestu tysięcy. Żyje jak król, nawet bez specjalnych starań. Jemu się udało. A ja jestem z kolei sympatyczną cum doll i obcy faceci rozchlapują na mnie swoje własne dziełka, abstrakcje złożone z białych kleksów i niczego więcej. Testy Rorschacha, które z niczym konkretnym mi się nie kojarzą... Kto by pomyślał... Rodzice byliby tacy dumni, wprost pękaliby ze wzruszenia, gdyby mnie tam widzieli, jak leżę, a tamci wtedy... Ale w listach, na które nigdy nie ma odpowiedzi, piszę im, że jestem modelką do aktów na ASP, żeby w tym kłamstwie było choć ziarenko prawdy. Bo to są takie jakby akty, a ci wszyscy faceci to tak jakby malarze, co, Sławek?

Trochę mnie wcięło, ale nie mogłem tego tak zostawić. Ona zdecydowanie za często i zbyt łatwo się załamywała. Okoliczności nie sprzyjały, racja, bywało tragicznie niemal pod każdym względem, ale trzeba dalej walczyć, bo inaczej nie

będzie po co rano z łóżka wstawać.

— To przejściowe, pamiętaj. A poza tym mówiłem już nie raz, że wcale nie musisz tego robić. Zawsze są alternatywy.

Parsknęła wymuszonym śmiechem.

— Oddychać też nie muszę, ale poczuwam się do obowiązku. Bo jakbym roznosiła ulotki albo sklecała kebaby, jak często powtarzasz, to byśmy żyli, kurwa, na wysypisku i sfermentowane resztki soków przegryzali spleśniałymi kromkami. Albo bułkami twardszymi niż kamień. Żarłeś kiedyś głązy, Sławek, cholerne kamloty? Żarłeś? Powiem ci: delicje z nich żadne... I pomyśleć, że kiedyś miałam nadzieję, że jak ktoś się wystarczająco mocno stara, świat w końcu zacznie jeść mu z ręki.

— Uspokój się... Jak uciułamy trochę, to coś na pewno zdziałamy. Razem.

— Niby co? Otworzymy burdel z tobą jako alfonsem i mną jako...? Bo innych perspektyw nie widać. No sorry, taka prawda.

Mówiła takim tonem, jakby była o krok od załamania nerwowego. Jakby przestało jej zależeć nie tylko na mnie, ale nawet na sobie samej.

— Słuchaj. To wszystko nie jest aż tak jednolicie i rozpaczliwie czarne, jak sobie wyobrażasz. Nie dalej jak tydzień temu czytałem o jakimś trzydziestoletnim gościu... Takim drobnym przedsiębiorcy. Założył sklepik z modelami, które sam od dziecka sklejał. I podobno idzie się z tego utrzymać, choć kokosów nie ma.

Spojrzała na mnie z mieszaniną pogardy i gniewu.

— Tak? A ja wczoraj widziałam w sieci notkę dokładnie o tym samym koleśku, demaskującą go jako aktora wynajętego przez korporację, która te modele produkuje. Więc nie pieprz. Jedyne pewny pieniądz dla takich jak ty czy ja jest teraz w branży usług seksualnych i tego nie zmienisz. Mamy kilka opcji. Ty możesz iść z powrotem do „Pałacu Palców”, ewentualnie sprzedawać się samotnym pedałom albo starym pannom. Ja mogłabym być prostytutką i świadczyć usługi w pełnym zakresie, albo substytutką, braną przez nieudaczników na imprezy jako ich niby-dziewczyna, bo za darmo tych gości nikt nie chce. I ta druga możliwość czasami wydaje się kusząca, bo poza robieniem lodu i dawaniem sobie włożyć palce, poza całowaniem tych frajerów i śmianiem się z ich drętwych żartów nic bym nie musiała robić. Żadnych stosunków, a zarobek lepszy niż teraz. Ale póki co jestem cum doll i nikt mnie nie tknie, więc mogę się oszukiwać, że jestem od tysiący kurew znacznie lepsza. Choć nie jestem.

Nie mogłem odbić piłeczki, bo regularnie przeglądam ogłoszenia i faktycznie osiemdziesiąt procent to oferty burdeli i rozmaitych salonów masażu albo substytucje: granie narzeczonej, żony, kuzynki, na którą w dzieciństwie ktoś

leciał. Od święta pojawiała się opcja zrobienia „kariery w mediach”: masturbacja przed internetowymi kamerkami, granie w filmach amatorskich i profesjonalnych. Czasami trafiały się też rzeczy już zupełnie chore: produkcja żarcia na ucztę koprofagów, amputacja stopy na zamówienie fetyszysty, sprzedaż pierwszych razów „autentycznych dziewic”... Że o poszukiwaniu sympatycznej dziewczyny na stanowisko opiekunki w przedszkolu „przyjaznym zagranicznym pedofilom” nie wspomnę.

— Tak dłużej nie będzie. W to nie uwierzę. Ludzie pójdą w końcu po rozum do głowy. Nie będziemy przez kolejne dekady tkwić w tym piekle, tak po prostu nie może być — powiedziałem najspokojniej jak tylko dałem radę. — Zgoda, jesteśmy w kiepskim położeniu, ale to nie będzie wiecznie trwało. Nie zrobiliśmy nic na tyle złego, żeby na to zasłużyć. Nie ma kar za nic, takiego więzienia za samo urodzenie się. W końcu los musi...

— A może jednak? Bo ja śniłam ostatnio, że jestem Adolfem Hitlerem i po raz pierwszy w życiu byłam naprawdę szczęśliwa, spełniona pod każdym względem. Słuchałam Wagnera, wygłaszałam nawiedzone przemówienia, bazgrałam akwarelkami. Ludzie się ze mną liczyli, bo wiedzieli, że jak coś pójdzie nie tak, mogę ich raz dwa wyeliminować. I wiesz co, żałuję, że to był tylko sen, żałuję, że tam nie zostałam, żeby całą jebaną Polskę przerobić na wschodnie landy, zgermanizować wszystkich, których się da, a resztę zabić. Przynajmniej żyłabym sobie spokojnie w Niemczech, szanowanym zachodnim mocarstwie i byłoby mnie stać na pięćdziesięciocalową, trójwymiarową plazmę, z zasiłku...

Przerażała mnie coraz bardziej. Brzmiała, jakby wszystkie nasze próby społecznego ustawienia się były czymś godnym pożałowania, jednym wielkim żartem, boską komedią na nowe stulecie.

— Gdybyś coś takiego powiedziała publicznie, to by cię zlinczowali.

— Ale nie powiedziałam, nie jestem taka naiwna i jeszcze z tej mojej zaszranego szubienicy... — którą ty nazywasz życiem... — jeszcze z niej nie spadłam! Tylko dalej wierzę nogami, licząc, że w końcu znajdę jakiegokolwiek oparcie. Choćby w tobie, Sławek!

— A co, ja ci go nie daję? Przecież non-stop szukam czegoś na drugą zmianę, żebyś mogła odsapnąć.

— To zacznij szukać bardziej — odparła wstając. I ruszyła w stronę drzwi.

— Gdzie idziesz? — zdziwiłem się, bo mieliśmy rzadką okazję pobyć dziś chwilę razem.

— Do centrum, połączyć po co lepszych sklepach i zobaczyć, czego w tym miesiącu nie mogę chcieć, choćbym chciała. Później do pracy.

— Pójdę z tobą.

— Nie.

Usiadłem na podłodze i tak długo wpatrywałem się w telewizyjny śnieg, aż wszystko wokół zrobiło się jednolicie białe.

*

W śmiertelnej potrzebie zabicia czasu, postanowiłem, że jednak przejdę się na to spotkanie, które zaproponował Marcin. Nigdy mnie takie sprawy nie interesowały, ale chyba nie ma nic gorszego, niż zostać samemu na kwadracie, mając podły nastrój, szczególnie po takiej wymianie zdań z Alicją.

Rzecz miała mieć miejsce na Batorego. Powiedział, że na pewno trafię i faktycznie, bo był to chyba najbardziej zniszczony budynek w okolicy. Wszędzie wokół odpicowane na wysoki połysk gmaszyska, a tu jakiś zabytek sprzed kilkudziesięciu lat, jak owinięty łańchmanami starzec na zjeździe finansistów.

Na domofonie widniało kilka zatartych nazwisk i tylko jedno wyraźne: Marcin Papiesz.

Zadzwoiłem.

Długo nikt nie reagował. Już miałem odejść i nigdy nie wracać, gdy dobiegł mnie charakterystyczny dźwięk brzęczyka, więc wszedłem do środka. Powiało tam grozą, jeśli mam być szczery. Skąpany w półmroku korytarz śmierdział rozpuszczalnikiem. Wszystko jakby podszyte strachem, rozedrgane, niedzisiejsze. Wbiegłem na czwarte piętro, przeskakując po dwa-trzy stopnie, żeby dłużej tego syfu nie wdychać i nie dostać od tego powikłań.

Zapukałem, bo dzwonek był urwany: przycisk zwisał smętnie na pęku kabli. Po chwili ktoś otworzył...

Marcin. Wyglądał na podekscytowanego. Biło od niego jakieś dziwne światło — twarz wyjątkowo wyraźna, jak młoda maska z zupełnie nie pasującymi zmarszczkami.

— No proszę. A nie mówiłem, że trafisz?

— Co bym miał nie. Już zaczynacie?

— Są wszyscy, dawaj do środka.

Posłuchałem. Wewnątrz było ciepło, duszno i wilgotno. Poczułem się jak w łonie matki. Teraz tylko czekać, aż niewidzialna pępowina wpompuje we mnie trochę ożywczej energii i będę jak baterie świeżo wyjęte z ładowarki.

— Cześć — powiedziałem.

Kilka głów obróciło się w moją stronę i usłyszałem zwielokrotnioną jak echo odpowiedź. Siedzieli w kręgu na środku pokoju, po sufit załadowanego regałami pełnymi starych książek. Zapach był tu jak w bibliotece, z nieśmiałą nutką cynamonu gdzieś w tle, między okładkami, między kurzem a powierzchnią, na której osiadł, między mglistym dziś i wyparowującym każdym porem wczoraj.

Usiadłem w fotelu, który wskazał mi Marcin. Zaskrzypiał w sprzecznie wobec masy mojego ciała. Osiemdziesiąt kilo piechotę nie chodzi. Odruchowo

przeprosiłem w myślach, choć nie powinno się współczuć meblom.

— Sławek na co dzień jest hamburgerem, ale chciałby to zmienić — przedstawił mnie zwięźle. Reszta kiwnęła głowami w parodii uznania. Była tam dziewczyna, która przedstawiła się jako Emilka, i bliźniacy: Adam i Albert. Emilka była pewnie przed trzydziestką, włosy ciemny blond, trochę kręcone, na lewym policzku znamię przywodzące na myśl pajęczynę, wysnutą pod skórą przez ogromnego pająka. Bliźniacy — młodsi od niej, pewnie w okolicach dwudziestego roku życia. Gdyby nie różne kolory ubrań, byłiby nie do odróżnienia.

— Obiecałem coś do przekąszenia i zdania nie zmieniam. Choć może nie tego się spodziewasz — powiedział gospodarz, wygrzebując z szuflady foliowy woreczek wielkości złożonego na pół banknotu. Wewnątrz pałętało się kilka pigułek, które rozdał zebranym.

Tabletka przypominała czerwone ziarenko i wiedziałem, że jeśli ją połknę, szybko zaowocuje w mojej głowie jakimś sztucznym rajem — lepszym czy gorszym, nieważne.

— Nasza dieta nie jest może zdrowa, ale umożliwia zobaczenie tego, czego normalnie nie widać, bo skryło się głęboko pod powierzchnią — wyjaśnił Marcin, z miną jak minus na zagmatwanym równaniu twarzy.

Połknęli pigsy, wszyscy naraz.

Ja się chwilę wahałem.

Ale potem przypomniałem sobie dzisiejszy dzień i wczorajszy, i wszystkie poprzednie — jak skazańcy w kolejce do gilotyny. Wiedziałem, że wątpliwości to przeżytek, coś najzupełniej niedzisiejszego.

Pochłonałem ziarenko i podlałem od razu łykiem śliny.

Liczyłem, że choć na chwilę przestanę zauważać pustkę drążącą wszystko wokół, jakby w arterie materii dostał się bąbel powietrza, płynąc przez ludzi i przedmioty.

Znów odezwał się Marcin, miał tu chyba monopol na nawijanie:

— Dobra, to skoro już nie jesteśmy na czczo, możemy szczerze pogadać. Wszyscy jak jeden mąż tkwimy w głębokiej dupie. Sławek, nie ty jeden.

— Ja w najgłębszej — wtrąciła Emilka.

A potem wyjaśniła niezorientowanym — czyli mnie — że od trzech tygodni pracuje w firmie „Dla Ciebie Wszystko”, gdzie ma za zadanie robić naprawę wszystko dla majątnych klientów, którzy ją wypożyczają. Przykładowo: dmuchać na zbyt ciepłe napoje i potrawy, przytulać, masować stopy, podcierać tyłek, prac, sprzątać, pocieszać, flirtować, wychowywać dzieci i „udostępniać ciało dla zaspokojenia innych potrzeb”. I nie ma dnia, żeby nie chciała się powiesić.

— To czemu nie rzucisz tego w cholerę? — zdziwiłem się.

— A czemu ty nie rzucisz bycia hamburgerem?

— Emm... Yyy... Bo nie ma innych sposobów... żeby się utrzymać...

— Dokładnie. To teraz dodaj do tego, że ja jeszcze muszę łożyć na zaślinionego ojca z alzheimerem. Będiesz miał pełen obraz. Zrozum, prawdziwe dno jest jeszcze parę kondygnacji niżej niż ty obecnie.

— Weź, Emilka, nie kręć mu od razu takiej jazdy dzisiaj. Dopiero zaczynamy — wtrącił któryś z bliźniaków, ale nie wiedziałem który, bo poruszali ustami symultanicznie.

— Nie kręć jazdy, kręć prawdę.

— Spoko, spoko — powiedział znowu któryś z bliźniaków. — Ty jesteś zjebana, on też, my też i to na amen. Rozwozimy po ćpuńskich melinach darmowy metadon, nie ma nawet o czym gadać.

— Bo tkwimy w więzieniu, panowie i panie — odezwał się Marcin. — Jest to więzienie wielopiętrowe i dobrze zakamuflowane, po horyzont roześmiane. Pierwszą celę stanowią kości, mięso i skóra...

— Po to ci matka skórę dała, by ojciec miał w co napierdalać. Po to ci rosną z dupy nogi, byś mógł w ślepy zaułek pobiec. A ręce ci wyrosły po to, żebyś mógł łatwo żyły podciąć. A głowa szyję po to zdobi, byś w pętlę ciasną miał co włożyć — zarymowała Emilka jak na zawołanie i rozchichotała się histerycznie.

Wtedy coś się zaczęło i nabrało rozpędu. W środku, we mnie.

Najpierw przyszło wrażenie, że ktoś stoi za mną i podsłuchuje, gapi się, chce mi wejść między skronie z brudnymi łapami, w których trzyma łyżkę specjalnie przygotowaną do wygrzebywania mózgu z białej miski czaszki. Słyszałem jego oddech: chrapliwy, nieregularny. Potem to wrażenia minęło i wróciłem do siebie, na stare śmieci, ale jakby cięższy, jakby ważący już nie te osiem dych, lecz co najmniej sto trzydzieści.

— Lepiej bym tego nie ujął — odparł Marcin i na chwilę zamarł, a mnie się wydawało, że jest woskową lalą i gdybym przyłożył mu ogień do twarzy, to w mgnieniu oka spłynęłaby w żółtą kałużę pod nogami zebranych.

Potem odwiesił się i nawijał dalej.

— Pierwszymi celami są nasze ciała, te niezgrabne powłoki ciągnące nas w dół, bez ustanku. Kolejne elementy więzienia stanowią nasi bliscy, przyjaciele, rodziny. Niektórzy z nich są tacy jak my, ale większość to maszyny, mające odwracać naszą uwagę od sedna sprawy. Można ich chyba nazwać strażnikami. To oni ustanawiają prawa, których musimy przestrzegać. A ci spośród nas, którzy przejrżeli na oczy, nazywani są zbrodniarzami, ludobójcami, ścierwem z marginesu... Ale ja się tu produkuję, a może nasz gość już wszystko od dawna wie... Słyszałeś kiedyś o filmie „Nagrobek w nagrodę”? — zwrócił się do mnie.

— N-nie. N-nigdy — powiedziałem. Język mi się plątał, jakby był protezą z

gumy albo ze styropianu.

— To ci radzę: zobacz. Choćby i dziś, choćby i zaraz. Masz go w sieci, masz w niektórych wypożyczalniach, mimo że wiele państw zakazało rozpowszechniania. Tam jest wszystko czarno na białym. Jak pierwszy raz to sobie zapodawałem, było tak, jakby coś się we mnie otwierało, dotkliwie i nieodwołalnie. Potem przyszło zrozumienie. Sam zobaczysz zresztą. I pojmiesz, że to, co brałeś za życie, jest tylko spacerniakiem, a kraty i druty kolczaste otaczają cię ze wszystkich stron.

Mówił jeszcze więcej. Nie wszystkie słowa byłem w stanie zrozumieć, niektóre nie wpadały mi do uszu, tylko sypały się na podłogę jak łuski z karabinu maszynowego. Coś o tym, że zagłada jest wyzwoleniem. Coś o tym, że śmierć to jedna z wewnętrznych bram.

A potem bliźniacy zaczęli nawijać o korytarzu z tysiącem drzwi: są zamki, ale nie ma kluczy, są poręcze, ale bez schodów. My jesteśmy też, ale rozpuszczeni w ciepłej krwi zwierząt, w ich białych kościach rosnących boleśnie pod słońcem ciemności. Nie jesteśmy jak reszta. Chorzy wybrańcy. Grudy światła w mrocznych kołyskach ciał. Ta planeta to tylko nasz garb. Bóg rozpadł się na miliony kawałków, pozostałości tkwią w każdym z nas jak okruchy lodu wbite w serca. Trzeba je połączyć, zanim...

Potem Emilka powiedziała, że mięsne maszyny mają kontrolę, bo są ich miliardy, ale one nie myślą, to tylko oprogramowanie wgrane w ich DNA, więc mamy szansę, możemy przetrwać, przerwać ten poroniony cykl śmierci i narodzin, musimy tylko trzymać się razem w ten ciemny czas. Nie możemy wchodzić łagodnie w samo jądro nocy, musimy się zbuntować, zbuntować. Nadchodzi przesilenie. Nadchodzi ostateczny rozbłysk.

A potem oni wszyscy powchodzili w ściany i zostałem sam.

Było zimno i mokro. Jakby urodził mnie ten pokój, prosto na podłogę, prosto w kurz, w brud.

Coś się pięło wokół, widziałem kątem oka. Wyraźne jak czarna stonoga na ścianie mgły. Chciałem to nazwać, żeby to oswoić i się nie bać, ale było nienazywalne, wypełzało ze szczelin w materii i czasie. Próbowало wgrzyźć się we mnie.

Usłyszałem pstrykanie palcami...

I patrzę... Patrzę, że przede mną jeden z bliźniaków pstryk-pstryk, pstryka, jakby chciał mnie obudzić... jakbym zasnął albo sam się zahipnotyzował, albo nawet gorzej.

— Wszystko OK? — spytała Emilka.

— Jak najbardziej — odparłem, choć głos był trochę obcy, chyba nie z gardła, a z taśmy.

— Mówiliśmy o „Nagrobku...”. Że naprawdę mocna rzecz, że seans obowiązkowy. A ty się po prostu zdrzemnąłeś — stwierdził Marcin. — Chcesz coś do picia? Wyglądasz blado.

— Jestem tylko kamerą wśród zwierząt — powiedziałem, a wszyscy zaśmiali się tak opętańczo, że pokój zadrżał i z książek opadł kurz jak po bitwie.

— Daj mu browca — poradził nie wiadomo który bliźniak i już po paru sekundach w mojej prawej dłoni zmaterializowała się chłodna puszka. Napiłem się. Płyn był jak wrzątek, gdy płynął przeze mnie. Był jak..

— Muszę się zbierać — powiedziałem w końcu, godzinę później, a może minutę.

— Dobra, tylko nie wpadnij pod żadną miejską komunikację, bo chcemy cię jeszcze zobaczyć.

Ktoś to powiedział?

A może ja to pomyślałem?

Wyszedłem chwiejnie, drzwi zatrzasnęły się za mną same. Potem brama wypłuła mnie na ulicę, gdzie było pusto jak po końcu świata, końcu historii.

Ruszyłem w mrok, powoli, jakby cała kula ziemiska była tylko kulą u nogi.

jazda z przerwą na miłość

był dynamit, że ja nie mogę. był w tym potencjał eksplozji z łam naszego portalu na inne media, ogień liżący zagięte rogi codziennej prasy i ślizgający się dziko po ekranach. była wizja tłustej kaszanki sypiącej się manną z nieba, brokatem banknotów słusznych nominałów, prosto na moją przegenialną głowę. więc wsiadłem w auto i z piskiem ruszyłem na z psem umówione spotkanie, co miało być za godzinę jakoś z hakiem.

ale wtedy jak mi coś nie piknie, jak mi nie przyjdzie zaraz esemes i po nim momentalnie ememes, jak mi nie zmacą aury!

bo esemes był od marka, że z okazji dobicia targu zaprasza pojutrze na szklankę biegunki do siebie, jeszcze ciepłej.

na co odpisałem: „dzięki przenajwiększe, ale mam już zajęte”.

a ememes od jakiejś weroniki — raczej nie tej naszej, z recepcji — w postaci fotki jej cipki z wygolonym serduszkiem włosów łonowych i propozycją następującą: „oral, penetracja?”. pod spodem adres.

dopiero po minucie zazwoiłem, że to był pierwszy omen partnerskiego czata komórkowego, gdzie się jakoś wczoraj wziętem zapisałem. i pomyślałem, że nie warto takiej okazji koło fiutka przepuszczać, więc po drodze do psa wstąpiłem pod podany adres.

było to co? był to domek jednorodzinny, zadbany budynek w kolorach róż-fiolet, z płotkiem eleganckim w barwach cyjan magenta yellow black.

zastukałem kołatką w kształcie serca — jakiś fioł z tym sercem? — i odczekałem swoje. aż drzwi się rozwarły w końcu.

— ty z czata? — spytała dziewczynka lat na oko sześć, w niebieskiej sukience w stokrotki. bez zęba na przedzie.

— z czata, ale zaznaczyłem w formularzu, że nie pukam, jak coś ma poniżej dwanaście lat i ewidentne braki w uzębieniu — wyjaśniłem nerwowo, manewrując łapami jak nakwaszony dyrygent.

bo mimo narastającej mody na pedofilię mnie to szczerze mówiąc nie brało, no nie ma bata. ewentualnie psa lub kota puknąć — okej, miły włochaty, w końcu człowieka przyjaciel, ale nie dzieci w okresie przed pierwszym okresem, weźcie to zabierzcie ode mnie, bo nie chcę, no centralnie, mnie to wręcz niekiedy odraża.

— mamooo! — krzyknęła mała. — pan z czata do cieeeeebieeee!

po czym zniknęła gdzieś w troki.

a dwa mrugnięcia moich zdezorientowanych oczu później w progu pojawia się weronika, czyli zawołana wcześniej matka polka. dość taka. myślę, że jakieś czterdzieści pięć kilo wagi, włosy letki brąz, oczy piwne, bufory spore, poślady

nadające się na sympatyczną pomiędzy nimi penetrację i inne zabawy z tej kategorii.

— to jak?

— może być penetracja, ale co ja z tego będę miał? — spytałem rzetelnie.

— wolisz w naturze czy w nominale.

— proponuj.

— w naturze to możesz potem oral albo anal już robione z myślą o twoim. a nominał to sześć stów mogę dać.

— mam około dwie dychy we wzwodzie.

— no to siedem stów, ale mają być dwa orgazmy wtedy, nie jeden jakiś na krzyż. czy pochwowe, czy łechtaczkowe — nie robi różnicy, bylebyś się postarał.

— stoi.

po dobieciu targu odbyliśmy ekspresowy stosunek na kuchennym stole. jak dochodziła pierwszy raz, mała w swoim pokoju gdzieś tam w górze zaczęła się drzeć, płakać wręcz. coś jej się tam chyba działo, jakaś trauma, jakaś grubsza jazda po bandzie.

— stul ryja, baw się! — wrzasnęła na to matka, a strach o dziecko chyba dodatkowo ją podjarał, bo doszła momentalnie, jak ręką odjął.

mała zamilkła w try miga, co wziąłem za dobrą monetę, że albo zmarła albo straciła przytomność, zapadłszy w dłuższą śpiączkę. więc, nie mając czasu na drugi stosunek, szybko pierdyknąłem soczystą minetę, zainkasowałem fajną kwotę i ulotniłem się stamtąd.

z komórki wystawiłem weronice na forum ocenę 7/10 i bonusowe serduszko za walory emocjonalne, które wprawdzie były niewielkie, ale na tyle znaczne, że może ją kiedyś jeszcze odwiedzę, jak nie będzie innych planów.

na spotkanie w sprawie tego całego zabójstwa dojechałem trzy minuty spóźniony, więc pies jak zbity pies już tam czekał i czekał coś do siebie pod nosem, jakieś na mnie wyzwiska pewnie, klątw prędkie rzucanie, tam popod knajpą. ale miał sympatyczną mordę, więc mile mi się widziała nasza zaczynająca się współpraca. nie zapowiadało się na zwykłe bicie piany ani żadne inne objawy wścieklizny z jego strony. było fajnie.

prawda wyzwala przemoc

Neon wypożyczalni „Celuloid” był mi zarazem sterem i żeglarzem, gdy jak statek pijany zataczałem się, potykałem i błądziłem w półmroku, zwodzony syrenim śpiewem mrugających nerwowo latarni, rozbłyskujących raz po raz reklam, bełkotliwych rozmów, ryczących samochodów. Poddałem się pływom i wirom tego dziwnego wieczoru, z ciałem zupełnie poza kontrolą: nogami, które nie pamiętają, że ktoś powinien nimi władać, rękami jak za długie skrzydła albatrosa, odarte z piór na całej długości rękawów. I tylko oczy odczytywały jeszcze sygnał odległej przystani, którą był przybytek kolegi Michała.

Chwiejnie wszedłem w progi „Celuloidu”, choć przestrzeń za szkłem wydawała się martwa i spowolniona, jakbym patrzył do akwarium, albo i gorzej. Nawet przez moment odnosiłem wrażenie, że z ust kumpla wylatują bańki i tańczą w nich drobiny światła, które w lepszej rzeczywistości byłyby słowami.

— Sorry, że znowu. Dzień po dniu. Nagła sprawa.

Wolno podniósł wzrok. Z jego twarzy nie mogłem wyczytać, czy wyraża radość, lęk czy gniew. Wydawała się napięta. Chrząściła sucha skóra na rusztowaniu czaszki. W końcu pokazał zęby i nie wiedziałem, czy chce gryźć, czy tylko uśmiecha się. To przerażało, taka niepewność, taka ewentualność dzikiego ataku.

— Te, nie bój nic. Możesz wpadać nawet co kwadrans. Tu nudno jak w gaciach emeryta.

Chciałem spytać o film, który polecał Marcin, ale tytuł, fabuła i w ogóle wszystko, co go dotyczyło, wyparowało ze mnie nagle i zniknęło w wewnętrznej szufladzie z napisem „nienazywalne”.

Byłem jeszcze pod wpływem, to pewne. Czułem w sobie to całe napędzane chemikaliami piekło. Krwiobiegiem sączyć musiały się resztki tamtej tabletki. Mózg dosłownie płonął żywym ogniem. A oczy były jak para ran boleśnie otwartych na świat. Brakowało tlenu w płucach. Struny głosowe odmawiały posłuszeństwa i współpracy, rozpoczynały generalny strajk.

I gdy usilnie próbowałem sobie przypomnieć, po co przyszedłem, zamierając w bezruchu, drętwiejąc i sztywniejąc, Michał zaczął nawijać.

— Te, słuchaj, Sławek, zajebiaszcza rzecz się kroi, Alfred Hammer skręcił coś nowego i to ma wejść u nas w przyszły weekend do kin. I ma być taka akcja, że jak ktoś wpadnie na salę z popcornem, to reszta ma zasrany obywatelski obowiązek napluć mu w twarz. To fani Alfreda po forach ogłaszają, taka akcja, taki mały flash mob. Się człowiek będzie mógł nadmiaru śliny pozbyć przed seansem

przynajmniej.

— On przestał ćpać? — spytałem, bo coś mi zaświtało, o jakim reżyserze mowa.

— Takie słuchy chodzą. W wywiadzie mówił, że rzucił herę tylko po to, żeby zrobić „Ślepotę”. A pogował z igłami dobre trzy lata, jak nie lepiej. Zęby mu wypadły, schudł do czterech dych w porywach, wrzody mu się porobiły prawie na całym ciele, czego by nie wyśnił chyba żaden Cronenberg. Jedno oko stracił w bójce nawet. Znaczą się ktoś mu przejechał kosą, a on ledwo co poczuł i poszedł do siebie. No i mu przez noc wypłynęło. Mówił, że jak się obudził, to myślał, że ma ślimaka na poduszce.

— Lubię ślimaki — odparłem. — Te miękkie istoty zwykły wykazywać nieziemską cierpliwość.

Miałem wrażenie, że rzeczywistość zmieniała się w tani kabaret, a ja stoję na scenie i setki oczu lustrują mnie teraz z góry na dół, choć nie widzę ani publiki, ani kamer. Nie wiem, kogo mam zagrać i co się stanie, jeśli źle wypadnę. Czy nie grożą za to jakieś ciężkie reperkusje, kary cielesne bądź zamknięcie w ciasnej celi?

— Ale słuchaj dalej, Sławek. Bo to z tą „Ślepotą” może być największy schiz od czasów „Ulicy Uli” Omegi, jak nie bardziej. Fabuła taka: Na całym świecie panuje półmrok. Po jakimś Armagedonie, ostatecznym sądzie czy czymś straszniejszym, niezidentyfikowanym. Widać kształty ludzi, ale twarze już nie. Ciężko poznać, kto jest kim, chyba tylko po głosie, po samej sylwetce. No i to jest o takiej rodzinie, co ciuła pomalutku flotę, żeby kupić trochę światła. Bo światłem tam handluje korporacja „Foton”, coś jak Microsoft albo Gazprom, tylko gorzej i ostrzej. No i stary zapierdala w fabryce rękawic. Tam wszyscy poruszają się na czterech łapach, więc wyjść bez rękawic, to jak u nas bez butów. Serialnie. A matka sprzedaje grzyby, co je sama zbiera w lesie. Nie tylko halucynogeny, ale też. Że film jest w chuj mroczny, nie muszę tłumaczyć. W tamtym świecie zabić kogoś czy zgwałcić, to jak w naszym zjeść bułkę z masłem. Napięcie narasta, ojciec czuje, że jest prześladowany, zaczyna mieć wizje, słyszy głosy, kątem oka dostrzega bezimiennych wrogów. Wszystko zmierza do tego, że na końcu udaje mu się kupić sto mililitrów światła, które zresztą sprzedawane jest w czarnych woreczkach, żeby nie wyparowało. Takie światło tam starcza na góra pół godziny, potem zostaje tylko muł na dnie. I podobno w ostatniej scenie cała rodzina zbiera się w kręgu i matka przelewa światło do szklanki. Co się dzieje dalej, ciężko powiedzieć, bo wiem tylko z recenzji i postów na forum, ale podobno to, co widać w tym chorym świetle, jest tak przerażające i popierdolone, że na seansach starsi widzowie schodzą na zawał, a młodzi szczają po sobie jak leci. Chodzi plotka, że na pokaz w Chicago wkradł się jakiś małolat i tak go posrało,

że od razu trzeba było delikwenta w kaftan łądować.

Słowa płynęły dalej, nieprzerwanie. Spoilery duże i małe. Dygresje jak boczne korytarze, jak podziemne kanały. Ale nie wiedziałem, czy to Michał mówił jeszcze, czy to echo grało.

Policzki mi zdrętwiały, czoło było ciężkie, powiek chyba już w ogóle nie miałem, bo okazały się ćmami i odfrunęły z twarzy.

— Słuchasz? — spytało coś.

A ja wtedy natychmiast się zmobilizowałem.

— Fantastycznie, Michale. Czekam z utęsknieniem na ten czarujący obraz o treści zaczarowanej. Natomiast pragnąłbym zadać ci pytanie na temat dzieła pod tytułem „Nagrobek w nagrodę”, czy takowe posiadasz na składzie?

Popatrzył na mnie aż otwierając usta z zaskoczenia i przez ułamek sekundy widziałem, jak spomiędzy warg niczym mała jaszczurka wybiegło mu zdanie: „kolo chyba zarzucił kwas”.

Nie wiem, czy to się działo naprawdę, więc nie rozwiąłem jego wątpliwości, ale nie, z kwasem nie miałem ostatnio do czynienia. Raz wprawdzie zapodaliśmy sobie z Alicją LSD, ale pojawił się kłopot z nietoperzami, konkretnie trafiliśmy do krainy nietoperzy, a orędzie prezydenta w TV było nagle orędziem Batmana na temat walki, nie walki z kimś, tylko samej walki, walczenia dla walki i zmagania się dla zmagania się, i pokonywania przeciwności dla ich pokonywania. Wtedy stwierdziliśmy, że to nie dla nas.

Po sekundzie pudełko z płytą zmaterializowało mi się w dłoni. Było chłodne. Skurcz przeszył mi dłoń promieniując aż po sam łokieć.

— Jak to w takim stanie zapodasz, nie wątpię, że ci pognie wszystkie możliwe blachy.

Rozbawiło mnie to ostrzeżenie.

— Jestem obecnie w stanie ciekłym, błogosławionym. Dziękuję za uwagę — odparłem, chichocząc. — A jak masz coś do ciekłych, to kran zakręć i kotom zabroń mieć okres, a nie do mnie teraz z wontami i złym humorem.

Po czym rzuciłem mu piąta i wyszedłem, bo klimat zrobił się tam trochę ciężki.

*

Zastanawiałem się, czy nie poczekać jeszcze z tym filmem na Alicję, ale nie, ona by to wszystko mogła źle zinterpretować, ciężko znieść. Pamiętam, jak się kiedyś strasznie pokłóciliśmy, bo stwierdziła kategorycznie, że „Teksańską masakrę” sponsorowali producenci pił mechanicznych, na co ja nie godziłem się przystać. Ogólnie niezły z nas duet i czasem mamy takie dyskusje, że aż żal kończyć. To przez to, jak z jednej strony jesteśmy podobni, gdy z innych stanowimy kompletne przeciwieństwa. Oboje depresyjni, ale ja bardziej

skrzywiony w stronę cynizmu, a ona z kolei popadająca ze znaczną częstotliwością w jakieś fajerwerki negatywnych emocji, pozbawione jednak choćby grama poczucia humoru. Ja swoją beznadziejną pracę traktowałem jak konieczność wprowadzić przykrą, ale do zniesienia — w końcu ktoś musi być tym hamburgerem — ona bycie cum doll brała za ostatni stopień w spotykających ją piętrowych poniżeniach, swoją rolę w tych marnych erotycznych spektaklach przekształcając w ekstremalne wyzwanie rzucone światu: patrzcie wszyscy, ile jeszcze mogę znieść, patrzcie, co mnie nie zabija to mnie wzmacnia! Ja przejęty poezją, bo się jej po uszy w ogólniaku naczałem, jak jakiś nawiedzony romantyk, który sam nie umie jednego ciekawego zdania sklecić, i ona poetycka abstynentka, była rysowniczo-malarka, artystyczna dusza w tętniącej klatce serca. Hamburger i ludzka lalka. Pan Przegrany i Pani Rozpacz. A wokół wszystko się rozpada, czarne sztandary powiewają przy każdym oknie, na każdym balkonie... Może gdzieś w światach równoległych ona już miała własne publikacje i galerie, wernisaże i autorskie spotkania, a ja zajmowałem się wreszcie czymś pożytecznym, nie pasożytowałem na głodnych naiwniakach? Pewnie tak było w lepszych rzeczywistościach. Tu jednak byliśmy straceni, wykopani na margines, bruk cywilizacji. Ze wszystkich stron słyszeliśmy tylko odmowy. Setki CV wysłanych na marne. Konieczność godzenia się z tym, co zostało, choć od dziecka wmawiano nam bzdury, że jeśli się postarasz, to na pewno coś osiągniesz, że jeśli mocno uwierzysz, to marzenia się spełnią. Nic się nie spełnia. To wszystko kłamstwa. Jeśli ktoś naprawdę czegoś chce, musi to wyrwać przemocą, iść po trupach do celu. Jeśli nie jesteś gotowy zabić wszystkich wokół w obronie samego siebie, to znaczy że urodziłeś się nie na tym co trzeba świecie.

Coś w nas umierało. Chęć życia ulatniała się szybciej, niż mogliśmy się zorientować. Stawaliśmy się manekinami. Nasze ciała każdego dnia robiły się dla nas coraz bardziej obce, bardziej czyjeś niż nasze. A potem z hukiem spadnie starość i już nikt nas nie zechce. Będziemy cierpliwie czekać na zejście pod ziemię, ostateczne rozwiązanie tej jakże przykrej kwestii życiowej...

Mógłbym rozwodzić się nad tym przez dekady, ale to niczego by nie zmieniło. Trzeba zająć się czymkolwiek, szybko odegnać chęć skończenia z tym wszystkim.

Odpaliłem więc płytkę i wbiłem się w fotel, bo to właśnie jest dogodna pozycja do oglądania takich filmów.

Światło ekranu spłynęło na mnie ciepłą falą.

Z cieczy momentalnie zmieniłem się w ciało stałe.

Skupiony czekałem, co dalej.

Drżałem, wewnątrz drżałem, jak słodkie nadzienie w samym epicentrum kamienia.

*

Dziewięćdziesiąt minut później byłem tak zryty, jak tylko można być.

Psychika siadła zupełnie.

Oczy bolały, ale nie ze zmęczenia, nie z niewyspania, tylko z tego, co z nimi zrobił ten film.

Właściwie cały siebie bolałem, paląco, nieznośnie.

Siedziałem wgnieciony w fotel, nie wiedząc, czy moje przedramiona nie zrosły się z oparciami, czy głowa nie stała się częścią zagłówka.

Było tak, jakby ktoś otwierał mnie skalpelem na oścież. Wszystko płynęło przeze mnie: byłem bramą, jakimś wymiotującym w niej nędzarzem, mchem na ścianach, zdychającym kotem, wyślizganym podłożem i kałużą przy schodach wiodących w nicość.

„Nagrobek w nagrodę”. Podróż do kresu, której nie kupisz w żadnym biurze, w żadnej promocji.

Przez pierwszy kwadrans bezimienny bohater samotnie błądzi po nienazwanym cmentarzu, kluczy wąskimi uliczkami, próbuje odszyfrować nieczytelnie inskrypcje na omszonych grobowcach, szuka czegoś, najwyraźniej nie mogąc tego znaleźć. Potem kładzie się w jednym z grobów, otwartym jak czarne łono, a z nieba zaczyna sypać nie deszcz, lecz ziemia. Gdy jego twarz znika pod jej grudami jak pod śniegiem zakłóceń, obraz rozmywa się, a widz poznaje wydarzenia, które do tego wszystkiego doprowadziły.

Cieężko streścić, co było potem, a właściwie przedtem.

Wiele wizji, wiele dziwacznych, niepokojących obrazów. Ale spomiędzy nich wyłaniała się wstrząsająca prawda przez duże „P”.

Bohater był jeszcze studentem, gdy w jednej z zapomnianych bibliotek odkrył pradawną Księgę. Nie miała ani tytułu, ani autora. Był to czterystustronicowy tom, o treści mówiącej jasno i dobitnie, że wszystkie rzezie, plagi i kataklizmy, jakie kiedykolwiek dotknęły nasz gatunek, były tak naprawdę wyzwoleniem, tyle że źle zinterpretowanym. Śmierć nie była żadnym końcem życia, tylko początkiem realnego istnienia, koniecznym uwolnieniem się z więzienia materii. Rak, dzuma i inne choroby, pochłaniające miliony ofiar, stanowiły błogosławieństwo, dar od prawdziwego Boga, abyśmy mogli wreszcie zrzucić ciężkie kajdany naszych ciał. Wszyscy głoszący pochwałę życia w istocie nie byli żadnymi prorokami, lecz oszustami, próbującymi nas omamić. Seks wyłącznie dlatego łączył się z przyjemnością, żeby uwięzienie kolejnych wcieleń w kolejnych ciałach stało się nieuniknione. Przykazanie: „zabijajcie się” ktoś zmienił na „płodźcie się”, a samobójstwo, ten najświętszy sakrament, zostało wyklęte przez wszystkich i wszędzie.

Ta „wiedza radosna”, którą wyczytał bohater, uświadamiała też, że nie

wszyscy zostaną zbawieni. Nawet jeśli umrą ze zgodą na śmierć albo z ręki kogoś, kto morduje, by ocalić, co jest warunkiem koniecznym wyjścia z piekielnego Dominium Materii. Bo większość mieszkańców tej planety była zaledwie pustymi pojemnikami z kości i mięsa, zwierzętami w ubraniach, albo — co gorsza — strażnikami bądź oszustami ukrywającymi najświętszą Prawdę przed oczami wybranych. Należało zabić wszystkich, Bóg i tak potem odnalazłby swoich. Trzeba było czym prędzej doprowadzić do Armagedonu, postawić wreszcie tamę na rwącej rzece historii, tego historycznego korowodu urojeń.

Przez wiele miesięcy bohater musiał ukrywać swoją poszerzoną świadomość, udawać, że nic się nie zmieniło, że nie zdaje sobie sprawy z sytuacji. Wiedział, że w przeciwnym razie śludzy Więzienia mogliby próbować go powstrzymać, przekreślić jego wielkie plany. Grał spokojnie tę trzecioplanową rolę, którą wcześniej brał za własne życie. Zbierał siły, by w odpowiednim momencie eksplodować.

Kupił trochę broni, co nie było aż tak trudne, zważywszy, że mieszkał w Stanach. W odludnych miejscach trenował strzelanie, bijąc się z myślami. Bywały chwile, że nie mógł pogodzić się z tym, czego ma dokonać, ale przez większość czasu czekał na swój wielki dzień ze stoickim spokojem.

W końcu nadszedł ten moment. Było dokładnie tak jak zapowiedziała Księga — w bohaterze wzrosło nagle poczucie nadludzkiej siły, gdy zbudzony o świcie najpierw godzinami medytował, czując na twarzy poranną bryzę, a potem jak zazwyczaj poszedł na uniwersytet, szczęśliwy i wyciszony.

Dokładnie w połowie wykładu z filozofii zerwał się z miejsca z opętańczym krzykiem:

— To będzie dla was najlepsze!

Tamci nie mieli bladego pojęcia, o co mu chodzi.

— To was wyzwoli od wszelkich cierpień, od tego całego gnoju! — wrzeszczał — To wasz bilet wygrany na loterii, w jedną stronę, ku wspaniałej śmierci!

Potem otworzył ogień, by wreszcie otworzyć im oczy.

Zabił kilka osób, kolejnych kilkanaście — w tym profesora — ciężko ranił.

Jęki ofiar sprawiły, że nagle poczuł się gorzej niż kiedykolwiek. Nadludzka siła uleciała z niego w ciągu paru sekund. Rozszalały wir materii doprowadzał go do mdłości.

Kałuże krwi, dłonie przyciskane do ran, konwulsje... Budzące wstręt ciała tych wszystkich ludzi, ich klaustrofobicznie ciasne wnętrza, ich rżenie w obliczu wybawienia. I zupełne niezrozumienie jego misji...

Uciekł oknem, nim przyjechała policja.

Na przystanku jakoś udało mu się wmieszać w tłum. Po pewnym czasie uświadomił sobie, że wszyscy mówią tylko o tym, co zrobił.

Wiedział, że jego godziny są policzone. Pragnął wrócić do domu ojca, by także jemu pomóc przejść na drugą stronę, ale zdawał sobie sprawę, że właśnie tam się na niego zaczają. Strażnicy, a może zwykli gliniarze. Mógł liczyć tylko na to, że ojciec pewnego dnia sam przeczyta zakazaną Księgę. Zresztą wyraźnie mu to nakazał, podczas ostatniej rozmowy telefonicznej, ostrzegając, że to sprawa życia i śmierci.

Gdy oddalił się od uniwersytetu na bezpieczną odległość, gdy już mógł snuć plany ucieczki i dalszego nawracania niewiernych hostiami z ołowiu, ostrzami lśniącymi jak monstrancje, zaczęło dziać się coś zupełnie nieoczekiwanego. Ulice nagle opustoszały. Południe momentalnie zmieniło się w czarną noc...

Otoczające go kamienice zaczęły się rozpadać, jakby były nie z cegieł, a z pyłu, który trzymała w kupie jedynie wiara bohatera w to, co widzi. Ten świat nie istniał, to był tylko czyjś chory wymysł, więzienie, gdzie kratami są rozedrgane struny światła, a jedynie w oślepiającym mroku możesz dojrzeć Prawdę.

Szedł przed siebie, przez pustynię, w którą obróciło się miasto. Zapanowała noc: bezgwiezdna, bezludna, bezdena.

Przeczuwał, że tkwi zamknięty w sobie samym, że to, co dostrzega wokół, to tylko jego wewnętrzny krajobraz nędzy i rozpacz.

Po długim marszu niespodziewanie dojrzał coś w rodzaju gigantycznego parku czy może oazy wśród ton piachu.

Gdy dotarł tam, okazało się, że to nie park, lecz cmentarz — ale inny niż wszystkie, które znał, przywodzący na myśl jesienny ogród, kiedy drzewa gną się już do ziemi, a kwiaty nie przypominają samych siebie, nawet zwykła róża nie jest różą, nie jest różą.

Nekropolia, gdzie spoczęli wszyscy obdarzeni duszą. Było ich ledwie kilkaset milionów, pośród mas manekinów, zwierząt w ludzkich skórach i strażników tego roztańczonego, roześmianego piekła. Niewielu bezcennych.

Tej nocy wszystko stało się nagle jasne i wolne, jak duch wypuszczony z klatki czasu, spomiędzy ciasnych krat przestrzeni.

Należało już tylko poszukać dla siebie miejsca.

*

To było we mnie, głęboko jak stygmat, który nigdy się nie zagoi.

Każdy atom wokół stał się widoczny i odrębny, pełen sensu, niczym osobne uniwersum, tylko siebie świadome.

Więzienie odsłoniło swoje zakazane oblicze.

Piekieł przemówiło językami ognia.

Stałem się niemym odbiorcą, gasnącym odbiornikiem. Fale płynęły przez

ziemię, powietrze, oceany, jeziora, rzeki, włosy, tkanki, rdzeń, pętle synaps. Z nadajników, anten, gwiazd, spiral obcych galaktyk i granic poznawalnego, jarzących się plazmą.

Zewsząd ten sam komunikat. Dla mnie, dla mnie, dla mnie...

Może Michał miał rację.

Może nie powinienem oglądać tego w takim stanie.

Teraz za późno. Już wiedziałem. Wiedziałem, co trzeba zrobić.

Serce biło coraz szybciej, coraz bardziej nerwowo. Biedny zwierzak. W ciągłych skurczach lęku, ale nie może się poskarżyć, bo zabroniono mu: szczekać, miauczeć, wyć, a nawet łkać.

Ręce i nogi wydawały się nie moje. Ktoś inny nimi kierował. To były cudze ruchy, cudze gesty. Ktoś inny mną myślał i oddychał. Ktoś obcy.

Za szybami cieńszymi niż naskórek nocne miasto rozrastało się jak guz.

Patrzyłem, oszołomiony.

Ciemna panorama końca. Chore narośle budynków rozjaśniał sączący się tysiącami kwadracików blask. Żyłami tego organizmu płynęły samochody, sycząc i warcząc, i dławiąc się, dławiąc. A w nich ludzie, jak tlen, gdy brakuje tchu.

Z kuchni wziąłem nóż. Piękne ostrze, uśmiech anioła...

Musiałem tylko zdobyć się na odwagę. Jak tyłu przede mną. Jak tyłu po mnie. Niewielkie plemię, które było i będzie, do kresu...

Długie pętle pępowin na więdnącym Drzewie Życia.

Lufy całujące podniebienia i skronie. Tabletki w ustach, kształtne jak hostie. Ostre przedmioty, całe skrzynie ostrych przedmiotów gdzieś na strychach dzieciństwa, w kurzu i pajęczynach, czekające na odkrycie.

Własny koniec tak piękny, piękny jak ten głos, który każdy z nas wciąż słyszy, wzywający go.

*

Zgrzyt klucza w zamku.

Potem światło, cienka smuga wpełzająca z korytarza, pod drzwiami.

Stłumiony szloch.

Znowu to samo.

Ona dała tym zwierzętom się sobą bawić, teraz płaci płaczem, zawsze.

Musi płacić: bilonem łez i ustami otwartymi do krzyku jak zera na banknotach. Tamtych to nie obchodzi. Oni muszą tylko zgolić sobie co dzień futro z twarzy, żeby nikt nie brał ich za małpy. Mają te swoje rozedrgane różdżki i dragi, i alkohol, i pieniądze, i samice pełne otworów i to im wystarcza, robi im dobrze.

Może były inne wyjścia, ale w tamtym okresie tylko ten klub był w stanie zapłacić więcej niż tysiąc pięćset na rękę.

Ale teraz wszystko będzie dobrze.

— Wyśniłem nam kochanie szczęśliwe zakończenie, nareszcie —
wyszeptałem w ciemność.

Trzask drzwi. Łazienka.

Trzeba zmyć z siebie blade resztki dnia. Włączyć niepamięć i liczyć, że
wszystko zgarnie, że się nie przeliczy.

Delikatnie naciskam klamkę. Drzwi są otwarte.

Widzę jej kształt w kabinie. Jestem dla niej wyzwoleniem i idę pewnym
krokiem, bo nic mnie nie zatrzyma.

Wiem, że zaboli, ale wyjście z tego piekła nie może nie boleć.

dobre wieści dla ludzi kochających złe wieści

— piotrek — przedstawił się ten cały glina, a było to przed knajpą o nazwie „by rzyło się lepi”, serio, bez litery ściemy.

— tomek — ja na to, podając dłoń w geście zaprzyjaźnienia się i chęci rozkręcenia współpracy, dobicia targu do pierwszego knockdownu.

skrzywił się nieletko. żyła wystąpiła mu między brwi i nabrzmiała momentalnie. w pierwszej chwili nie zazwoiłem, o co cho i czemu akurat tak, ale zaraz mi się przypomniało, że mam tu do czynienia z przedstawicielem władzy i na dobry początek trzeba nie podawać łapę, jak zwykłemu kundlowi marki burek, tylko uczciwie posmarować, jak psu najukochańszemu, co w zębach niesie ku nam posłusznie kość, merdając na prawo i lewo.

więc szybko dwie stóweczki cyk-cyk z portfela na miłą zachętę i na twarz — kopiuj/wklej — od ucha do ucha uśmiech akwizytora, pytającego: „gdzie pan nabył równie znakomitą wycieraczkę? no nie żał stać na takiej?”.

to w okamgnieniu zmieniło bieguny sytuacji.

— dawaj do środka — powiedział tamten, bez owijania.

i ruszyliśmy.

„by rzyło się lepi” było lokalikiem specjalnie do załatwiania różnych drobnych spraw. w sumie istniała cała ogólnokrajowa sieć, wiecie: kopertę masz dać, człowieku, to tu bierzesz kontrahenta, chcesz karkom zlecić zresetowanie boyfrienda córki, tu ich prosisz elegancko na stronę, szukasz rzadkich produktów najlepszej jakości, tutaj weźmiesz popytasz i będzie w try miga załatwione, się nie bój o nic.

a co do tych ostatnich, jak już tkwimy w temacie, to się teraz trochę chryja porobiła, bo wyszło szydło, że jakaś majątna świnią z koncernu medialnego właśnie do spóły z kolesiem poznanym przez „by rzyło się lepi” sprowadzał z afryki kurtki skórzane na zamówienie. a wyglądało to tak, że brali klienta jeepem do jakiejś wioski, gdzie nigery żyją jakby czas się zatrzymał w roku minus czterysta dziesiątym, no i tam on sobie wybiera, z kogo skórę mają skroić i co z niej uszyć. jeden kolo zamówił na ten przykład dla żony torebkę z niemowlaka, a dla siebie neseser z jego matki. kosztowało niemało, ale przynajmniej wiadomo, że ci szajsu nie wciskają, tylko niefarbowane czarne ledery, orydżinal z najwyższych półek. prasa to podłapała, narobiła szumu i chwilowo biznes zawisł w połowie drogi między znakiem stopu a znakiem zapytania. do teraz się zastanawiam, czy to nie był tylko zręczny copywriting, czy może faktycznie takie akcje się stały.

siedliśmy w łoży. piotrek wyjął paczkę fajek i poczęstował mnie. skorzystałem. ogólnie wiem, że jaranie jest bardzo passe, że szlug na salonach to nieletki obciach, ale tu był pewien wymóg sytuacji, która bez dymka nie mogłaby się obyć, bo jak ktoś w takich spelunach nie pali, jest na starcie spalony.

pies siedział i nic. ani „me” ani „be” ani „szczeku-szczek”.

zaciągnąłem się, zbierając myśli.

— to jak? — spytałem.

— najpierw kwota — odparł.

kurwunia jasna. zaciągnąłem się znowu, tylko po to, żeby tym razem zebrać się w sobie.

podałem mu pięć stów pod stołem i mówię:

— reszta po transakcji.

tamten od razu zrobił się rozmowny, jakby te banknoty spowodowały ekspresowy rozruch ślinianek i gwałtowną pobudkę strun głosowych.

— mamy kolesia dla ciebie. tego domniemanego zabójcę, sprawcę. na razie nie postawiono mu zarzutów i może się nawet nigdy nie postawi. trochę posiedział w szpitalu, to z jednej strony. a z drugiej my czekaliśmy na kogoś z mediów zaufanego, żeby sprawę rozkręcić. bez odpowiedniego szumu dużo z tego nie wyprowadzisz, no nie tak?

— a jak. to jestem. marek mnie już trochę wkminił.

— marek gówno tam wie. to pierwsza taka akcja od dawna. generalnie nie mam bladego pojęcia, co się porobiło, ale ludziom odechciało się siebie nawzajem mordować. teraz jak już coś, to ewentualnie na legalu. jakiś jełop przy nieczęstej flocie wykupuje sobie opcję pełna symulacja i szafa gra. nie ma nawet o co oskarżać.

wiedziałem, o czym bredził, tkwiłem po uszy w temacie, jasna sprawa. realnych mordów było na mieście jak na lekarstwo, ewentualnie już te całe symulacje. a szło w nich, że za dwadzieścia koła wzwyż rodzina plebejskich biedaków sprzedawała swojego członka korporacji „hunting”, która organizowała specjalne polowania dla bogatych. puszczało się w las trochę motłochu, a elita z bronią białą lub czymśtam uganiała się za nimi. za dodatkową opłatą można było sobie załatwić łeb ofiary do powieszenia nad kominkiem, ale mało kto się na to pisał, bo jeden z topowych projektantów wewnątrz stwierdził kiedyś na łamach jakiegoś portalu, że wieszanie ludzkich głów w salonach to tak samo obciachowe jak kładzenie sobie spreparowanych ludzkich skór pod nogi. niekiedy trafiały się też hardcorowe imprezy ogrodowe, gdzie można było sobie jakiegoś plebejskiego niemowlaka żywcem podpiec na różnie tudzież grillu, a potem pokroić i na papierowych tackach częstować rodzinę oraz znajomych. fajna rzecz, ale ja bym w żadnym razie na coś takiego nie poszedł, szkoda

zachodu, żal na takie frykasy i polowanka tak grubej floty, wolę już doroczny i zarazem niedrogi cykl „paintball w żłobkach”, z bonusowym drinem za każdego sińca na mordzie małolatów, plus elegancki dyplomik dla najcelniej trafiających.

— nie będę ściemniał, chcę wykrzesać z tego tęgą sprawę — powiedziałem, żeby mieć jasność.

— i będziesz krzesał, będzie grubo jak ten chuj. jest młody kolo, jest wielki dramat, są dwa trupy, krew-autentyk na autentycznych już gnijących ciałach. jest naprawdę git-gitara.

— wiadomo, czemu to wziął popełnił?

— ha! i to jest właśnie nutka magii w całym programie.

— że co?

— bo gościu wspomina coś o jakiejś sekcie i na dowód dał nam ich rzekomy biuletyn.

— a gdzie tu magia?

— weź i zobacz.

wyłożył na stół jakąś broszurę i zachęca gestem do zapoznania się z tym śmieciem.

więc otwieram i się wlampiam.

i czytam na głos:

— „szkoła języka japońskiego haiku-express”?

a zdziwieniu memu nie było końca...

ciemne miasta błyszczą pod powierzchnią map

Trochę krzyku i wierzgania. Więcej jednak wierzgania. Zupełnie jak przy narodzinach. No i strach, bo bez strachu żaden byt nie może się obyć.

Wbiłem Alicji nóż w gardło, po samą rękojeść.

Przez ułamek sekundy widziałem w jej oczach, że coś z niej właśnie wypęła, a potem to uleciało bezpowrotnie i w mojej dziewczynie zostało już tylko czyste zwierzę, przerażona istotka wciśnięta w worek ludzkiej skóry, jak szczenię przed utopieniem w rzece.

Szarpała się, więc poszerzyłem ranę kolejnym cięciem.

Chciałem to przyspieszyć, skrócić męczarnie. Zależało mi na tym, żeby zbawienie przyszło do Alicji szybko jak mknący krwiobiegiem anestetyk.

Biedna mała. Było mi jej żal. Tak bardzo ją kochałem, że byłbym gotów poświęcić samego siebie, byleby tylko wreszcie ujrzeć ją szczęśliwą.

Tak bardzo chciałem ją ocalić, przenieść w lepsze miejsce, którego jest warta...

Biedna mała.

Biedna gruda światła w tej brudnej kołysce ciała.

Upadła, próbując zatamować krwawienie dłonią.

Z jej gardła dobiegało wywołujące mdłości charczenie, tak bardzo przypominające odgłosy zarzynanych świń, że nie mogłem uwierzyć, że mam przed sobą tę samą osobę, z którą nie tak dawno potrafiliśmy godzinami dyskutować o tym, jak oboje czujemy się obco wśród ludzi, którzy pogubili gdzieś własne człowieczeństwo.

Moja najdroższa...

Nie przestawała kopać.

Czerwona posoka wypływała spomiędzy palców.

Wiedziałem, że to dla jej dobra, tylko i wyłącznie w celu jej ostatecznego wyzwolenia, ale ten widok mimo wszystko wywoływał dreszcze.

Ona tego nie rozumiała. Myślała pewnie, że oszalałem. Że ogarnął mnie jakiś morderczy amok, przez te wszystkie niepowodzenia, które czekały na nas oboje na każdym kroku. Ale to było tylko złudzenie. W życiu nie byłem bardziej normalny, bardziej racjonalny.

To dla ciebie, kochana.

To wszystko dla ciebie.

Czemu to tak długo trwało? Musiałem niechcący ominąć tętnicę.

Dwa kolejne ciosy.

Dwie nowe rany.

Żyły na nadgarstkach krwawią mniej niż tętnica szyjna, ale ważne, że w ogóle.

Trzeba upuścić sporo paliwa z baku, żeby zatrzymać ten pokręcony mechanizm.

Charczała, przewracała oczami. Ten widok rozrywał mnie wewnątrz na strzępy.

Uspokoiła się nagle. Po prostu zamarła, jakby wyrwać wtyczkę z gniazdka.

I stało się jasne, że już jej tam w środku nie ma ani grama, że przede mną leży teraz tylko pusta klatka, a Alicja pożegnała nasz ponury wymiar, czarną jak kryminał egzystencję kości, mięśni, tłuszczu, krwi, śliny i reszty.

Dłonie mi drżały, miałem zawroty głowy.

Metaliczna woń wywoływała torsje. Łazienka wirowała, chwilami tracąc materialne kształty. Byłem w samym centrum tego wszystkiego, a marzyłem, by wreszcie ochłonąć, wypaść choć na moment poza kadr.

Musimy zabijać to, co kochamy. Nie ma innej drogi. Chociaż to łamie serce, w chwilach próby musimy być twardzi. My, nieliczni świadomi tej porażającej Prawdy.

Trzeba teraz zachować zdrowy rozsądek, trzymać nerwy na wodzy i kontynuować. Poszukać kolejnych uwięzionych.

Biegiem...

W korytarzu jakiś staruch. Kanciasta gęba, kilkudniowy zarost, korona siwych kłaków, orli nos.

Głos piskliwy, nie pasujący do gniewnego spojrzenia, ptasi.

— Co wy tam wyprawiaaa...?

Moja odpowiedź zwięzła, w postaci noża wbitego mu w krtań, jak odwrócony wykrzyknik, z wielką kropką w formie głowy natręta.

Potem długi bieg po schodach.

Wrzaski gdzieś w tle, niosące się pogłosem.

W końcu wypadam drzwiami na ulicę, nie wiedzieć czemu zataczając się jak pijany. Albo naćpany. Ale nie, już nie byłem. Trzeźwość bywa bolesna, a tylko ból jest realny, tyle wiem.

Kolejne ulice coraz bardziej ruchliwe, mimo późnej pory, wszystko się wije, światła latarni tańczą, mrowią się... kąsają, gdy patrzę.

Chaos narasta, sprawia, że robię się coraz bardziej rozkojarzony.

Biegnę.

Cieżarówka ciężarna tonami pustaków przejeżdża obok, głośny dźwięk silnika, chodnik drży przez chwilę, gdy ona jedzie, a ziemia się trzęsie, trzęsie się cały mój świat.

Potem wzrok znów się wyostrza. Widzę i wiem. Ludzie wokół w mgnieniu oka zmieniają się w rzesze oprawców.

To właśnie oni: strażnicy Dominium Materii, o których wspominał film. Więzienie w miliardach wcieleń.

Koło sklepu mężczyzna wsparty własnym cieniem i dymem z papierosa, jedyny taki jak ja. To da się zauważyć. Ten dziwny blask, aura błogosławieństwa, które jest przekleństwem.

Już chcę tam lecieć, żeby i jego wyzwolić z tego koszmaru, ale słyszę nagle:

— On ma nóż!

— Maaaamooo, pan się pokaleczył.

I zaraz rusza ku mnie kilka osób o przerażająco woskowej skórze: figury wytopione z tej samej masy, wlane w krajobraz osiedla tylko po to, aby mnie obezwładnić.

Rzucam się więc biegiem przed siebie.

Pędzę co tchu w płucach. Za mną wrzaski i ryk silników, trąbienie, gdy przecinam skrzyżowanie i lecę dalej, w miasto jak w przepaść, bo nogi same się nie zatrzymają, to pewne, nakręciły się już na dobre i jaaazda.

Czuję, że tu każdy jest przeciwko mnie.

Każda brama najeżona strażnikami, na każdym samochodzie wyrasta syrena i nabiera realnych kształtów, by potem rozbłysnąć, obudzić się z przeciągłym wyciem i blaskiem, świetlnym wrzaskiem, który momentalnie przebarwia okolicę w jakieś osobliwe inferno, w jakiś dziwny żywioł, zadziwiający ogień, skryty w każdej cegle, każdej płycie chodnikowej, za każdym rogiem i w każdym oknie.

To piekło jest głodne, a tylko ja się nadaję na dzisiejszy podwieczorek.

Ogarnia mnie strach tak wielki, że aż skóra cierpnie.

Muszę się gdzieś ukryć, zyskać na czasie, zaszyć się choćby na kwadrans w jakiejś przytulnej kanciapie, gdzie facet w zakrwawionym ubraniu nie będzie powierzchownie oceniany i krytykowany za zbrodnię, której zbrodnicość jest tylko pozorna.

I wtedy olśnienie.

Marcin.

On zrozumie.

Też spojrział w tę otchłań, też nosi jej piętno.

Więc pędzę.

*

Na Batorego dotarłem szybciej niż myślałem. I szybciej niż myślałem odnalazłem tamtą kamienicę. Ale coś się nie zgadzało. W miejscu domofonu tylko gładka ściana. Zamiast drzwi pusta przestrzeń. To niepokoiło, ale też

ułatwiało wiele spraw. Wszedłem.

Na mijanych piętrach żadne z mieszkań nie miało drzwi.

Nieokreślony lęk narastał we mnie z każdym pokonanym stopniem. Przecież to nie może...

Na czwartym piętrze tak samo. Wszystkie mieszkania puste, opuszczone. Tu nikt nie mieszka. Nie mieszkał od lat.

Wchodzę tam, gdzie się z nimi spotkałem ostatnio.

Też nikogo.

— Marcin? — pytam ścian, a one nie odpowiadają.

Żadnych regałów, żadnych książek, żadnej bibliotecznej woni. Nic.

Na zakurzonej podłodze jakaś kartka, pomięta.

Podnoszę drżącą dłoń; czytam:

Marcin: No proszę. A nie mówiłem, że trafisz?

Sławek: Co bym miał nie. Już zaczynacie?

Marcin: Są wszyscy, dawaj do środka.

Sławek: Cześć.

Marcin: Sławek na co dzień jest hamburgerem, ale chciałby to zmienić.

Na scenę wkracza znikąd trójka nowych bohaterów: dziewczyna, która przedstawia się jako Emilka i bliźniacy: Adam i Albert.

Emilka — przed trzydziestką, włosy ciemny blond, trochę kręcone, na lewym policzku znamię.

Bliźniacy — młodsi od Emilki, pewnie w okolicach dwudziestki. Ubrania w różnych kolorach, żeby dało się ich odróżnić.

Marcin: Obiecałem coś do przekazania i zdania nie zmieniam. Choć może nie tego się spodziewasz.

Zaraz, zaraz. To przecież moje pismo.

A więc ja to wszystko...

Ale.

Ale dlaczego?

Po co miałbym się wpieprzać w aż taką kabałę? Wkręcać samemu sobie schizę, która doprowadziła do rzeczywistego dramatu?

I wtedy nagle z kartki znika cała treść, a potem znika nawet sama kartka i zostają z pustymi rękami, które trzęsą się coraz bardziej.

— Emilka, Adam, Albert? — pytam ścian, a one zaczynają się śmiać, jakby pod tynkiem kryło się tysiąc niewidzialnych ust.

— Alicja? — pytam i nagle zapada cisza przeszywająca jak ostrze gilotyny.

A więc taki sobie i mojej ukochanej zgotowałem koniec? Nie, to niemożliwe. Z każdego koszmaru można wyjść, trzeba tylko znać drogę...

Okno zaczyna jarzyć się nieziemskim blaskiem.

Chcę to szybko zakończyć.

Godzę się z nadchodzącym epilogiem.

Więc biorę rozpęd i skaczę, zanim otworzy się we mnie nowa przepaść.

Szkło jest takie, jakby go nie było.

Potem: bryła ciała w nieczułych objęciach matki grawitacji.

zderzenie poematów

— jaka znowu szkoła języka, w czym rzecz? — pytam, a pies patrzy na mnie, jakby miał zaraz wywiesić ozór z ekscytacji.

— w kieszeni kolesia była ta broszurka i on się upierał, że to jest folder tego pseudougrupowania, z którym się niby to spotkał. nie docierało do niego, że tu pisze co innego, znaczy się: jest napisane. żadne sekty tylko zwyczajna reklama, chleb nasz powszedni, racz nam dać panie. wierzył święcie, że w lokalu przy batorego spotyka się taki niby to „klub samobójców” i nawijają bez przerwy o sprawach doczesnych i wiecznych. całe snuł w tym temacie legendy miejskie, mitologie nowe konstruował w potocznych słowach. oczywiście gówno prawda, rudera stoi opróżniona od dwóch lat i co najwyżej spotkasz tam menelskie kółko różańcowe, nikogo więcej.

— czyli że sprawca jest zdrowo psychiczny, czy jak?

— to na sto procent, ale my nie będziemy z tego robić żadnego tam pitu-pitu w kwestiach jego niepoczytalności. razem z tobą ustalamy plan działań i się tego trzymamy. prawo jest po naszej stronie, bo my tu stanowimy prawo.

przez chwilę się namyślałem, co z tym faktem począć. jak przerobić taką rzecz centralnie na użytek medialny, jak wydoić krocie z takiej sytuacji? mówi się niby, że wszystko już było, a jeżeli nie, znaczy, że niewarte wzmianki nawet w bulwarowej prasie. ale tutaj trzeba było w try miga wysilić się na oryginał, żeby i widz był syty, i copywriter faktów cały.

i jak mi się zaraz żarówka we łbie nie zapali, jak mi nie błysnie idea nowa platońska w środku czachy.

— mam, kurwunia, mam!

— no to uderzaj.

— patrz teraz: kara śmierci dla skurwiela. a do tego...

— do tego?

— cały wyczesany reality show! i wielki finał z udziałem publiczności w centrum miasta!

na moment go wcięło. potem pokiwał głową z uznaniem.

— o to chodzi, panie tomku, o to chodzi.

— tylko może być problem, bo karę śmierci już dość czasu temu wycofano z obiegu i nie wiem, czy można jeszcze wracać w te retro klimaty, mimo że zwolenników widowiskowych egzekucji jest cała chora masa.

— e, żaden problem! posmaruje się tu i tam, zakręci tematem na łamach i można krzesać. a jak nie wypali, to się obczai coś zgoła innego.

— pięknie, pięknie... cudownie — nie ukrywałem podjarania tym genialnym pomysłem. — zaraz się spiknę z pawłem, żeby go wprowadzić. on ma wtyki w

paru miejscach, można będzie uderzać do telewizji, radia, prasy, oczywiście z wstępną propozycją, bo kto nam nie zasponsoruje tego nie ma... i jeszcze zostaje kwestia tych chujków różnych pomniejszych od praw człowieka.

uśmiechnął się wyjątkowo pobłaźliwie, jakby on takie rzeczy na pniu rozpierdalał już od lat.

— żadna kwestia. zaraz koledzy podjadą do ich szefa na tym obszarze i subtelnie zasugerują umycie rąk od całej sprawy.

— tylko zasugerują?

— że tak powiem: z załączonym argumentem. mamy nagranie, co się w nim sprzeciwia małżeństwom księży tej samej płci, a opinia publiczna takiego uwstecznionego członka zaraz może sprowadzić do parteru i wysadzić z posadki, dosłownie raz-raz.

— no to gra.

— i jest git-gitara.

— wporzo, w takim razie to jest ugrane i zaklepane. byleby się nie obsrać z podekscytowania. bo mamy klarowność. zatem do meritum: kiedy poznam naszego centralnego pojebańca, bohatera ostatniej akcji?

— możesz i teraz.

— teraz teraz?

— pewnie. właśnie koledzy mają sesję przypalania mu nóg szlugami, co praktykują zresztą, odkąd się u nas pojawił.

— jesusie zrodzony centralnie z marii panny! tylko nie zmęczcie mi go za bardzo, błagam.

— a gdzie, człowieku! nic nie poczuje nawet. kolo jest od szyi w dół kaput. sam zobaczysz.

nadpobudliwe pobudki

Dziwnie krótkie dni i zadziwiająco długie noce.

Jakby słońce zmieniło się w lampę błyskową i tylko na ułamki sekund oświetlało wszystko w zasięgu wzroku.

I to uczucie zanurzenia w gęstej galarecie aż po brodę.

Gdzie ja jestem?

I kiedy?

*

Najpierw ciemność i dźwięki syren, przeciągłe, wywołujące mdłości, z początku odległe, a potem od razu obok, krótsze, rwane, głośniejsze niż bomby.

To pierwszy ze snów, bardzo intensywny i lepki..., będący zarazem preludium tego zanurzenia, które potem trwało i nie chciało się skończyć.

*

Drugi sen dla odmiany niezmiernie jasny.

Sama roztańczona biel, drobiny światła w powiekach, trochę też szkła, a za nim jakieś strzępy rozmów, jakieś:

— Panie doktorze.

— Szyć. Najpierw oczyścić, pewnie. Dajcie tu więcej luzu, bo ciężko dojść.

I takie coś, jakby całego mnie upchnięto w mojej głowie, zaszyto oczy, usta, nawet dziurki w nosie, a wcześniej wypełniono watą, wełną, pełną tego wszechobecnego szkła, które skrzypi przy każdym ruchu, każdej myśli.

Gęsia skórka, ale tylko na twarzy.

Słowo: ciężkie obrażenia. Taki neon po wewnętrznej stronie czoła, pęknięty, owadzio brzęczący, przyciągający mnie z wielką mocą.

Chęć wymiotowania i zupełny brak możliwości zrobienia czegokolwiek.

Naprawdę czegokolwiek.

*

Później trzeci sen, chyba najdłuższy, wybitnie rozwlekły, miks dwóch poprzednich.

Dużo szarości, zabrudzonego światła, wypranych z siebie kolorów, wirowania.

W tle głosy ludzi, brzmiące bardzo małpio, piskliwie, jakby kłócili się o kiść bananów.

Nieustanna walka tych nieznamych.

Sprzeczki, szarpaniny, tupanie po podłodze, suficie i ścianach.

Pierwsze kształty: kuliste, obłe, przelewające się jeden w drugi. Dużo ruchu i czas: nie tyle płynący, co raczej kapiący na mnie, krople boleśnie drażące kamień.

Kolejny sen jakby w łonie tego trzeciego, głębiej: ciemny kot przebiega jasne

ścieżki. Potem tysiące jego kopii w poprzek wszystkich wyobraźalnych dróg, które mógłbym wybrać, ale tego nie zrobię, bo mi zabroniono.

I od razu powrót do tamtej odrealnionej rzeczywistości, ale tym razem wszystko kanciaste, kłujące, jakby cały świat w ciągu minuty wyhodował dwudniowy zarost i mnie nim dotykał, pocierał o mnie, tarł, tarł, tarł, ścierał się ze mną w każdej kwestii, nawet najdrobniejszej.

A ja w dalszym ciągu jestem tylko głową, jednak ze dwa razy większą niż zazwyczaj — wypełnionym szczelnie balonem, o włos od pęknięcia.

— Słyszysz mnie pan? — mówi ktoś i jego ręka, twarz, liść, gałąź albo korzeń macha mi dosłownie centymetr od gałek ocznych.

Chcę odpowiedzieć, ale nie mam języka.

Wrażenie, że został skonfiskowany i razem z resztą ciała spoczywa na dnie głębokiej jak śpiączka szuflady, w jakimś magazynie poza przestrzenią i czasem.

— Słyszysz? — powtarza ten ktoś i odsuwa tamto coś, mackę, nogę, racicę bądź poroże tak, że już nigdy nie będę mógł się dowiedzieć, czym było.

Milknie i odsuwa się cały, ale nie do końca płynnie.

Chyba moje oko rejestruje teraz tylko dwie-trzy klatki na sekundę i stąd te niejasności, stąd ta mętność wyjaśnień...

*

Obraz znów nabiera ostrości.

Ja wewnątrz białego sześcianu. Jestem głową w tym sześcianie. On jest najwyraźniej żywy, bo wszystkie ściany oddychają, wzdymając się i zapadając, ale to są oddechy kogoś konającego, nieregularne, nierytmiczne, wybiegające daleko poza metrum.

W jednym z rogów sześcianu pojawia się czarna kropka i zaczyna rosnać, jak pleśń.

Ta czerń rozplenia się gęstym kożuchem na coraz większą przestrzeń. Zjada wszystko wokół, szczególny apetyt mając na światło, pasożytując jakby na nim, wysysając z niego treść i formę.

I wtedy ja zaczynam spadać, ale nie tyle w dół, co we wszystkich kierunkach naraz.

I chcę krzyknąć, ale tylko niemo poruszam ustami, z których wylatują niewyraźne litery, nie należące do żadnego znanego mi pisma, poprzekreślane, niestaranne, błędne, nakładające się jedno na drugie, odklejone od wszystkich poznawalnych znaczeń.

I wtedy dzieje się coś jeszcze, jakby pod tym, czego doświadczam, jakby pod skórą tych wszystkich zdarzeń, ale od razu zapominam, bo to już jest poza językiem, poza rozumieniem.

Milczę więc tylko.

głowa idzie pod młotek

zdziwiłem się co nieco, bo mnie ten piątek cały nie wziął wtedy centralnie na komisariat, tylko do jakiejś budy skundlonej gdzieś za miastem, ale zaraz mi wyklarował kawę na ławę, czemu tak, a nie inaczej.

— ta nasza sprawa to jest totalnie nieoficjalna. nie będę owijał w tej kwestii. to przestępstwo, choć grubego kalibru, nie będzie raczej nigdzie notowane. posmarowało się lekarzom, żeby świra wcześniej puścili ze szpitala, mimo że nim jeszcze teoretycznie telepało od obrażeń, przegadało się szefowi, żeby przymknął oko, to się mu fajną kwotę odpali i tak dalej. dlatego nie będziemy sobie tym syfem paskudzić miejsca pracy i tu się wszystko sfinalizuje. zrozum mnie. my traktujemy to bardziej jako hobby niż robotę. w końcu nie codziennie się nam trafia szumowina podana na tacy. i to bez żadnych zobowiązań i powinowactw, bo kolesia rodzina i krewni dawno pozdychali, albo w długą poszli, a swojej tak zwanej konkubinie poderznął gardło. jego problem. cokolwiek z nim wykombinujemy teraz, zachowamy czyste ręce. nikt nas nie będzie w tej kwestii prześwietlał.

była to faktycznie taka jakby buda, jakieś barachło porzucone lata temu przez nie wiadomo kogo. kryte to było dachówką, z której niewiele się już ostało. jedno piętro, zero tynków, same pustaki scementowane w sosie własnym. że drzwi były, to graniczyło z absurdem, ale były, fakt faktem, nikt nie wyrwał jeszcze.

więc weszliśmy.

w progu przywitało nas coś w rodzaju wycio-szczekania, przeplatane gołkami. jak weszliśmy na salę, gdzie akcja się działa, wszystko stało się jaskrawo wręcz jasne.

na środku pomieszczenia gdzieś sześć na sześć metrów — łóżko. na nim leżał ten cały zabójca. zupełnie goły. w stanie tragicznie — krytycznym. z wyglądu to bym go zakwalifikował albo na oiom, albo od razu na złom. pełno sińców, prawie wszędzie. a ran różnych, ciętych i kłutych, to chyba jeszcze więcej. mnóstwo do tego śladów po oparzeniach, których przybywało nawet w tym momencie, bo trzech funkcjonariusze w cywilu, którzy tam objęli nad klientem opiekę, bawili się w sprawdzanie, czy jego skóra od ognia z zapalniczek to się fajnie sfajczy, czy może nie całkiem. kombinowali i kombinowali, z efektem wiadomym, bolesnym nawet dla moich oczu.

jeden powiedział do mnie z dziwnym uśmiechem:

— ej, patrz, ej, patrz na to.

i złapał skurczonego członka kolesia i zaczął go opalać od spodu, aż skóra zrobiła się czerwona, miejscami nawet czarna. rozszedł się swąd, rozległ wrzask.

kolo wrzeszczał i wył. i jęczał, błagał, wył znowu i płakał, przeklinał i wzywał pomocy. i milkł, by po chwili zacząć szczekać, a potem kontynuować wszystkie odgłosy od nowa.

— czemu szczeka jak pokurwiony? — spytałem.

— pewnie mu kazali — odparł piotrek.

— aha — ja na to.

zrobiło mi się tak trochę niemrawo. różne rzeczy się niby w życiu widziało, ale żeby na taką marnację przeznaczać osobę, z której można niebagatelne kwoty wydoić, to po prostu żal ściskający dupę i zarazem gardło.

— może mi go, panowie, oszczędźcie trochę, bo zwłok kamerować nikt nie będzie chciał — powiedziałem w końcu, najzupełniej już oschle.

— on nic nie czuje, człowiku, to manekin — rzekł na to jeden z wprawionych w rzemiośle przemocy oprawców. — poszły kręgi, poszło w kurwę po rdzeniu, teraz to możesz mu odciąć ręce i nogi i nawet nie drgnie powieką. te dźwięki całe to chyba wydaje, bo mu wypada. nie cierpi, cwel głupi, tylko się nad sobą użala. pieprzony leszczyk. się wkurzę bardziej to mu język wytniemy i resztę syfu z gardła. i będzie po sprawie. film niemy wtenczas się zacznie.

— zaraz, zaraz. co z tymi kręgami?

— kaput. jebnął i tyle. skoknął przez okno, to pewnie liczył na inny efekt, ale tak jest nawet lepiej, bo może zapłacić za wszystkie zbrodnie, co był poczynił.

szybko wziętem piotrka na stronę, już słyszałem w wyobraźni słowa: „kamera, akcja!”.

— słuchaj, będę potrzebował z nim parę minut sam na sam. skrzyknij chłopaków, idźcie zajarać, ja tu przeprowadzę krótki wywiad osobowy, żebym wiedział, w jakie klimaty uderzyć, kiedy zaczniemy robić ten nasz arcydzielny program.

*

gościu z pozoru wyglądał na zresetowanego na amen, ale jeszcze dość kontaktował.

patrzył na mnie niczym jakieś przerażone zwierzątko, co mi się kojarzy, jak w podstawówce jeden mietek czy tadek zabrał mnie w zarośla, „pokazać czary”. polegało to, że nad rzeką, w takich krzakach, on miał maciupieńkiego kotka przywiązanego do pnia. kotek rozkoszny, dosłownie jak ze shreka albo i lepiej. potem ten tadek czy mietek temu maluszkowi umocował na tylne łapy jebutne pierścienie z petard, kupione w sklepie takim specjalnym z różnymi gadżetami. niezbyt mi się widziały te czary całe, ale nic nie mówiłem, bo tamten koleś słynął ze spuszczenia ludziom łomotu, a być jego kolegą znaczyło, że mało kto się odważył ciębie czepiać.

podpalił te petardy, luknął na mnie, wyszczerzył beżowe zęby i powiedział:

— patrzaj uważnie. zara będzie jak we filmach.

patrzyłem, chociaż jak teraz o tym myślę, to lepiej by se było oczy wybić własnym sumptem we wczesnym dzieciństwie, niż na takie coś biedne gały narażać, wybałuszać na taki szwank.

kotek nerwowo dreptał w miejscu, czując już pewnie, że mu się coś iskrzy poniżej ogonka...

a później jak nie jebnie, jak nas krew nie zaleje, nie opryska po twarzach i ubraniu, jak się ten psychopatyczny seryjny kolega nie zacznie śmiać, co ja słyszę z oddali, bo jestem ogłuszony, na pierwszym planie tylko jednostajne piszczenie, wszystkie inne dźwięki w tło.

tych petard było po osiem-dziesiąt na każdy pierścień, więc jak wtedy skierowałem mętny wzrok na tego kotka, to niewiele go już tam się ostało: cały tył rozerwany w strzępy, tylnych łap doszczętnie brak, z ogona tylko mały fragment, futrzany łach... no i flaki, kurwa mać, lśniące flaki z niego wzięły i wypłynęły, ale nie to było najgorsze, najgorsze było to jego przerażone spojrzenie, taka dezorientacja w gasnących oczkach, jakby mnie błagał o pomoc, o okazanie choć cienia litości.

podobne coś widziałem teraz u kolesia leżącego tu półtrupem przede mną. wyraz niedowierzania, że to wszystko dzieje się na jawie, że to nie koszmar, który zaraz na dobre się rozpłynie.

*

— ty — mówię — jak cię mam wołać?

tamten z początku nie zwoi, czeka na coś, być może na zbawienie nawet. potem otwiera usta, choć zanim popłynie jakikolwiek dźwięk mija jeszcze z pół minuty.

— sła... sła-wek.

— dobra, sławek — odpowiadam. — jestem torek i kupuję cię od tych panów zaraz. i pojedziemy z tym koksem. planuję zrobić o tobie program, mówię nie na wyrost, tylko centralnie wprost. taki drobny reality show o przygotowaniach do egzekucji, twoje wypowiedzi na temat tego, coś popełnił, błagania o przebaczenie, rozważania, czy jest coś po śmierci, czy raczej nie itp. no bo jeszcze o tym nie wiesz, ale egzekucja ciebie będzie, tylko musi się parę osób w tym temacie określić, wyklarować ostatecznie. ja stawiam na krzesło elektryczne, moim skromnym zdaniem, fajny sprzęcik, retro nawiązanko takie, i to daje nam wtedy swobodę dodania w finale feerii sztucznych ogni, różnych komputerowych efektów, gdyby twoje konanie okazało się za mało widowiskowe. się później pomyśli zresztą o tym. teraz kilka kwestii off the record, okej?

nic nie mówi, więc sędzę, że okej.

— swojej konkubinie całej żeś gardło nieletko poharatał, facet. tak samo sąsiadowi. a potem skoczyłeś z wysokości, celem chyba utraty gwarancji, że takie coś można przeżyć w jednym kawałku. przeżyłeś jednak, co widać, słysząc i czuć. to pytam teraz: po co, po kiego grzyba takie kombinacje?

on namyśla się, wolno zwilża językiem wargi, co wygląda, jakby mu spomiędzy zębów wysunął się ślimak i nie wiedział, czy rogi wystawiać czy nie. potem odpowiada, zdania idą mu z trudem, jakby polszczyzna była jakimś zawirusowanym windowsem, który wprawdzie odpala, pełen niby luksus, ale aplikacje się chrzanią z góry na dół, co sekundę się zawieszają.

— chciałem... chciałem tylko uwolnić... mnie i alicję... sąsiad to tak przypadkiem. on był wrogiem, szpiegiem mięsnego mocarstwa.

— mięsnego mocarstwa? co to? jakiś nowy wypasiony market?

nie zważając na moje wtrącenie, ciągnął dalej:

— chciał mnie zatrzymać, więc musiałem... marcin mnie na to naprowadził. papiesz taki... dał ulotkę. dał pigułę. kazał... „nagrobek w nagrodę”. musisz zobaczyć. to dzieło zbawia. otwiera oczy do środka, a zamyka na ten nienormalny świat.

że jest zdrowo chory, to nie było dwóch zdań. ale, ale. taki przypał dobrze się sprzeda, ludzie na czubków zawsze lecieli. jak ktoś gadał do ryb i ptactwa, to go od razu brali za mesjasza.

— chciałeś uwolnić, fakt faktem, a zabiłeś. siebie chciałeś znowuż zabić, a okaleczyłeś. więc nie do końca coś tu zatrybiło. ja ci powiem, sławek — bo bądźmy na ty, żeby nie było siary — jak to obiektywnie wygląda. leżysz tu jak ta jebana kłoda i można ci naszczać na czoło, nic nie zrobisz. zamordowałeś jakieś biedne dziewczę, jakiegoś biednego sąsiada bonusowo, chciałeś się wywinąć, więc spróbowałaś strzelić samobója. poszedłeś na łatwiznę, a wyszło takie szydło, że już nigdzie nie pójdziesz. więc chyba się nie zmartwisz za bardzo, jak tą swoją historyjkę weźmiemy skamerujemy, kulturalnie wkleimy na portal, do gazet, ludziom do telewizorów i tych ich tępych łbów, ku przestrodze. może to kogoś poruszy i się jeden z drugim dwa razy zastanowi, zanim będzie chciał się nożem pobawić w grę zręcznościową z dużą dawką przemocy... a ty chcesz w ogóle żyć, czy ci to wisi jak cała oklapnięta teraz reszta?

— nie. nie mogę... muszę się wydostać... z tego ciała i świata. pomożesz mi? błagam... musisz, bo ci glińiarze... oni będą mnie męczyć miesiącami. ciąć i przysmażać. nie czuję tego, ale wiem, że powinno boleć. i sama ta świadomość, ona mnie wykańcza... pozwól umrzeć. bądź człowiekiem, proszę, torek.

— ja mam być człowiekiem, jak ty byłeś zwykłym ścierwem, co we krwi własnej ukochanej się tapła?! wolne żarty. ale skoro ewidentnie chcesz zgonu, to dostaniesz. tylko obiecaj pełną współpracę. uda się nasz wspólny projekt, wypali

medialnie, to na końcu się z tobą skończy. a jak nie, będziesz tak leżał półtrupem następne pięćdziesiąt lat.

— wszystko zrobię. wszystko! tylko nie każ mi żyć dalej w tym bagnie.

kiwnąłem głową z politowaniem, bo jego stan faktycznie wywoływał chęć się rozpłakania, co dobrze świadczyło na przyszłość, bo jak nasz target zobaczy takie coś, to ich ściśnie w dołkach i będą na potęgę mój show oglądać. czułem już na karku oddech grubszego hajsu, słyszałem dźwięk banknotów wielką jak tsunami falą wpływających mi na konto.

było fajnie, a będzie jeszcze fajniej. by w końcu dojść do najfajniej.

boże, jak ja kocham ten świat.

dno się rozciągnęło na krawędziach horyzontów

„Prawdziwe dno jest jeszcze parę kondygnacji niżej niż ty obecnie” — powiedziała mi swego czasu Emilka i trudno nie przyznać jej racji, po tym co zaszło.

Poprzednie piekło było ledwie ciepłym kaloryferem, teraz utkwilem w samym sercu Piekła przez wielkie „Pe”, we wrzącym jądrze jakiejś ciemnej gwiazdy, bez nadziei na lepsze jutro czy znośne kiedyś.

Strawiły mnie płomienie.

Rdzeń świadomości zardzewiał i pokruszył się.

Dawna osobowość stała się kimś obcym, jakby osobną osobą, i przepadła gdzieś.

Rozdwojony, rozbity, czułem, że utracona część mnie samego rozpaczałaby po tym, co się stało, po tym, co zrobiłem Alicji, mimo że tak ją kochałem.

Z drugiej strony, przecież nie zabiłem, lecz wyzwoliłem, i nie tyle ja straciłem Alicję, co raczej ona dzięki mnie zyskała szansę na godne życie w jakimś innym świecie.

Jeśli przestanę wierzyć, że „Nagrobek w nagrodę” jest swego rodzaju bożym obrazem, świętą ideą wybiegającą poza nasze marne czasy, będę już tylko potępiony, na wieki.

*

Pobyty w szpitalu pamiętam jak przez mgłę: białe fartuchy, szary całun snów, czarne godziny nieprzytomności i niewiele więcej, ale do końca życia nie zapomnę, co robili ze mną ci skurwiele, ci tak zwani gliniarze, wściekłe psy toczące pianę.

Patrzenie, jak się inni wyżywiają na twoim ciele, przypalają, gaszą na nim pety, od święta spluwają, nie przestając kpić, jak to nikomu nie podskoczysz, bo wcale nie podskoczysz — tego nie sposób wybić sobie z głowy. Szczególnie, gdy jesteś tylko głową, a wszystko poza tym to wyłącznie jakiś mięsny balast, ciemna masa, doczepiona na siłę, bym stąd nie odfrunął z pierwszym lepszym huraganem.

Bili też, oczywiście, kopali, gryźli.

Śmiali się całymi godzinami.

Nacinali żyłkami, wbijali w stopy igły, podważali ostrzem noża paznokcie.

A ja nic nie czułem i to było najgorsze. Bo ból jest po to, żeby ostrzegać, że dzieje się z nami coś niedobrego, więc prosty wniosek: ze mną nie działo się nic niedobrego, zasłużyłem na to, co robili. Zasłużyłem na bycie ich popielniczką,

spluwaczką, workiem treningowym.

Ból zrobi z ciebie boga albo zwierzę, a kiedy go brak, jesteś skazany na bycie zerem, nieokreśloną płataniną tkanek.

Było tak, jakbym umarł, ale pozostał świadomy.

Byłem trupem, który nie zasłużył na wieczne odpoczywanie, lecz na wieczne męczarnie... wieczne rozpoczynanie tego samego najgorszego dnia mojego życia.

Jakby ten pełen przemocy i smutku film, którego bohaterem się stałem, trwał w nieskończoność, zapętlili się niechcący, bo ktoś zapomniał wkleić napisy końcowe.

I wtedy jak zbawienie pojawił się Tomek. Powiedział, że zrobi jakiś program rozrywkowy, że za parę tygodni mnie uśmiercą, a z egzekucji pójdzie w mediach transmisja na żywo, będzie duży pieniądz, sława, uznanie, popularność.

Ogarnął mnie zachwyty. Bo pojawiła się szansa, żeby to wszystko skończyć raz na zawsze. Pojawiła się nadzieja, której od dawna nie mogłem w sobie odnaleźć.

Godziłem się na każdą jego propozycję.

Pytałem nawet, czy nie miałby ochoty zabić mnie od razu, może nawet sam wybrać, w jaki sposób chce to zrobić.

Ale to był człowiek biznesu. Wiedział, co robi. Najpierw należało rozkręcić show, a dopiero potem skracać moje cierpienie.

Zanim piesek z przetrąconym karkiem zdechnie, popatrzmy, drogie dzieci, jak spokojnie leży sobie na poboczu autostrady, poszturchajmy go kijkami, och, jak wspaniale, jeszcze oddycha i toczy pianę...

się nagra, się sprzeda

szefuńcio najpierw był z deczka sceptyczny, chciał się od całej sprawy wymigać, ale ja mu mówię: paweł — bo na „ty” przechodziłem, gdy chciałem się spoufalić i coś zyskać — bądźmy poważni, to jest historia, jakiej by nie wymyślił żaden copywriter faktów, tu jest i wielka miłość i wielki dramat. i dramatem by było przepuścić takiej okazji, bo podobnej opowieści ze zbrodnią w tle szekspir by się nie powstydział, ani dostojewski, ani agata christie. to co ty się masz wstydzic, co, paweł, mój drogi, najdroższy?

w końcu zazwoił na szczęście, a już się martwić zaczynałem, czy nam ta megaokazja nie śmignie koło wachacza, bo w biznesie informacyjnym — prócz niebagatelnych kwot do wydania — liczy się też rzecz tak bagatelna jak czas. zasadę carpe diem trzeba wdrażać w życie raz za razem, to znaczy zrobić dniowi ksero, zanim nam spierdoli ze słońcem za horyzont, a pikawa w zegarku wybijie centralnie północ. płyną bowiem dni jak paciorki różańca w rozedrganych parkinsonem łapskach starej dewoty, a my musimy pamiętać, że każda sekunda jest szansą na nabicie kieszeni.

— wezmę popytam, porozmawiam z ludźmi, co sądzą, i co się da ugrać, to ugram, a co się nie da, to dam koperty i posmaruje grubszym bilonem — powiedział mi poprzez słuchawkę mojej komórki nokia fl15, która ma grubość ćwierć cala i panoramiczny ekran wysokiej rozdzielczości, na jakim nie rozróżnisz, czy idzie akuratnie „matrix repatriacja” czy retransmisja wydarzeń z kalkuty, bo wszystko jest full hd i każdy pixel ciała każdego człowieka lśni jak osobna gwiazda.

— to ja już trzymam jeden kciuk za to, a jak skończę do ciebie rozmawiać, drugi też przyduszę za powodzenie tego naszego przedsięwzięcia — odparłem. — jak wypali i fajnie pierdyknie, zapraszam cię, pawle, na kolację do „udek kleopatry”. ja stawiam!

— weź mi nie gadaj o żadnych udkach w żadnej teraz formie, bo idę za kwadrans z angielską stażystką pippą macarthur do sushi baru „macka”, nie wiem, czy znasz, fajny taki, przed głównym daniem możesz sobie dla smaku polizać różowe stopy autentycznych i apetycznych japonek.

— to miłego lizania, tylko grzybków nie złapcie!

potrzebowałem odrobiny relaksu.

odpaliłem więc sprzącior, konsolę i telewizor, za jednym zamachem pilota.

pojawił się jednak od razu odwieczny problem każdego gracza — w co zaciupać najpierw? w tym kwartale kupiłem coś koło tuzina tytułów, a wszystkie zebrały ultrawysokie oceny w prasie, wszystkie dysponowały megagrafą, no i grywalność była w nich większa, niż bym się za swój własny dżojstik ukryty w

gaciach złapał i godzinami z nim szarpał.

zobaczmy, zobaczmy...

„sklepy cynamonowe”, adaptacja słynnej prozy brunona jakiegoś tam, bla, bla, chodzisz po centrum handlowym i napierdalasz z wyrzutni rakiet w „subiektów”, bejsbolem rozpiżdżasz wystawy i bankomaty, zaliczasz babki oraz wyplątujesz im z włosów łonowych karaluchy w bonusowych mini-grach.

to nie, godzina nie była na żadne karaluchy pod poduchy, coś raczej w bardziej letkim takim klimacie.

patrzmy dalej.

„ślepowidzenie”, strategia czasu rzeczywistego, dowodzisz grupką telepatów i okradasz statki międzyplanetarne z kosmicznej floty, potem włączasz hipernapęd i bierzesz w troki.

nie, nie, to też nie, żadne teraz gwiazdne wojny, żadne takie.

„w dziurkach anastazji”, przygodówka biologiczna dla dzieci od lat trzech, gdzie szukasz skarbów w otworach ciała jakiejś laleczki, co wcześniej w erotykach grała, coś ją kojarzę, chyba w „sprężystych udach” wystąpiła jako tytułowe uda, ale nie, teraz mi się nie chce chwilowo żadnych dziurek, dajmy se z tym siana.

o! chyba mam.

„puzzle z mięsa”. tak! gra typu gorno lub jak kto woli torture-porn, znęcasz się nad różnymi frajerami, konstruujesz na nich zasadzki, przyczajasz się z pistoletem na gwoździe albo szlifierką do jeżdżenia im po zębach. miodzio, full wypasik. i jeszcze bonus taki, że możesz ofiarom wklejać z jotpegów zdjęcia swoich znajomych centralnie w miejsce mord, co by się przyjemniej ich wykańczało, po znajomości.

no to jazda. raz dwa. z pendrajwa biorę zgrywam na dysk konsoli fotkę moich niewydarzonych starych i biorę się za ciupanie.

na wstępie matce wybijam oczy cyrklem, potem skalpel w łapę i kończyny jedna po drugiej spadają na glebę.

ha ha!

drugi etap, starszemu przebijam dzidą płuca, a potem miotaczem ognia po girach.

jest dobrze. słyszę już jednak drobną niedoróbkę, na starcie niewidoczną, bo co z tego, że możesz rodzinę i znajomych zmielić na krwawą papkę, jak dźwięki, co oni wydają, to są już wcześniej zaprogramowane! i moi starsi w żadnym decybelu nie brzmią tu jak moi prawdziwi starsi! to jest wtopa znacząco zmniejszająca frajdę z samego zabijania w sosie własnym.

więc odpalam kompa, wchodzę na forum „puzzle z mięsa” i w dziale „opinie o produkcie” piszę bez cienia obciachu: „grafa wporzo, grywalność — mjut, ale te

dźwięńki te sample poprawcie lepiej jakimś patchem, peniski wy moje kochane!”.

po czym wracam do konsoli, wklejam kolejnej postaci gębę julki i za to, że dziś nie miała czasu zrobić mi dobrze, przecinam ją na pół piłą motorową, a następnie nawijam flaki na widelec i smacznie sobie jem, mniam-mniam, za co dostaję bonusowe odblokowanie nowej mapy i tysiąc kredytów do wydania na bronie.

jest dobrze.

zamieszanie

Nigdy wcześniej aż tyle nie sypiałem.

Starąłem się zerwać wszystkie wątle nici, wiążące mnie jeszcze z tym tak zwanym światem.

Oczy otwierałem rzadko, niechętnie. Boleśnie.

Oddychanie traktowałem jak przykrą konieczność. Choć z drugiej strony dobrze, że w ogóle mogłem samodzielnie oddychać, bo wystarczył krąg czy dwa wyżej, a nawet do tego potrzebowałbym pomocy jakiejś hałaśliwej maszyny.

Za oknami miałem widok na szarawe pole, z jednym zgarbionym do samej ziemi drzewem, na którym często siadały kruki, wymieniając kraczące poglądy. Czasem się im przyglądałem, kątem oka, chyba że akurat znalazłem w sobie tyle nadludzkiej siły, by przekręcić głowę — wtedy miałem pełen obraz. Nic ciekawego się tam nie działo, ale dobrze wiedziałem, że to tylko zasłona, za którą pośpiesznie toczy się przedziwne przedstawienie, przez optymistów nazywane życiem.

Ciągle jeszcze czułem szaleństwo tego świata, chorobę, która przybrała ludzki kształt i jak rak zmieniała rzeczywistość w coś odrażającego, w jakąś gnijącą mamałygę, wypraną z barw, nazw, idei, wszystkiego.

Czy to się kiedyś skończy? Jak wiele absurdu mogą znieść czas i przestrzeń, nim pękną w szwach? Jeśli szczęście dopisze, już za kilka tygodni nie będę się musiał tym przejmować.

*

Zaczęły się pierwsze nagrania. Przyjechali z kamerami, mikrofonami i resztą ciężkiego sprzętu. Dwóch barczystych facetów ubrało mnie w koszulę z lumpeksu i przetarte w kolanach jeansy. Powiedzieli, że chcą zrobić ze mnie rewolucyjny miks Kurta Cobaina i Charlesa Mansona, że to się powinno sprzedać. Jakaś damulka nałożyła mi dyskretny makijaż. Chichotała bez przerwy i powtarzała, że jestem megaseksi, że jakbym kiedyś stanął na nogi, to ona jest dla mnie pierwsza w kolejce do puknięcia.

— Raczej nie. Niedługo umieram — wyjaśniłem.

— No ale chyba nie tak ostatecznie, nieodwoalnie, co? — zaśmiała się nerwowo, przewracając oczami.

— A tobie się wydaje, że jak?

— Osobiście nie znam nikogo zmarłego, choć nauczyłam się być tolerancyjną wobec osób o takim poglądzie. To nie jest na pewno żadna choroba, żadna patologia. Może oni się tacy rodzą? Czasami podejrzewam nawet, że to całe umieranie, jako ogólnie proces, to tylko jakiś zabobon, jeszcze sprzed wojny. Starzy ludzie ciągle o tym pieprzą, aż się słabo robi. Ty wiesz, raz zdechł mi

chomik w Tamagotchi, ale wystarczyło kupić nowe baterie, żeby ożył. Babcia Halina też już ze trzy razy miała zdechnąć, ale potem zawsze się budziła i chciała pierogów... Jest tyle miliardów ludzi na Ziemi i przybywa z każdym rokiem. Jakby ktoś umierał, to raczej powinno ubywać, no nie? Logika się kłania, helo! A poza tym to o takich rzeczach jak powszechna śmierć na stówę by było mówione we wiadomościach albo w Internecie pisane. A sami zainteresowani, czyli w tym wypadku zmarli, jako niby ta miażdżąca większość, to na pewno by już dawno założyli jakąś partię, czego nie widzę tak znowu na lewo i prawo, ani w sejmowych ławach. Chyba że przesadzają z brakiem ostentacji, wstydzą się mieć otwarcie własną paradę.

— Idź na cmentarz i sama zobacz.

— Już byłam, byłam. A coś ty myśla! Z moim Szymonem żeśmy poszli, bo mieliśmy smaka się bzyknąć w jakimś miejscu użyteczności publicznej. No to ja się kładę na którymś z brzegu zaraz grobie, patrzę, a tu nie żaden marmur, żadne to tamto, tylko zwykły plastik. Podnoszę to gówienko, a w środku normalnie coś takie kanciaste, trochę w rodzaju może telewizora, tylko bardziej jak taka bryła, chyba sprzed stu lat, jak nie gorzej.

— Nie był to przypadkiem Cmentarz Powstańców Młodej Polski?

— No, ten sam! A co, byłeś też? Pompowałeś tam kogoś, jak jeszcze mogłeś się wysilić na wzwoda?

Tym razem to ja przewróciłem oczami. Tylko na tyle było mnie teraz stać.

Nie miałem ochoty uświadamiać tej biednej dziuni, że jej cmentarz to zwykła makieta, sklecona naprędce przez jedno z medialnych imperiów. I że samo Powstanie Młodej Polski to bajka, dzieło bystrego copywritera faktów. Krótko mówiąc wymyślił on, żeby w kilku wioskach małopolski wybuchło powstanie, którego celem będzie odłączenie tego województwa od Polski jako takiej i stworzenie tu Królestwa Młodej Polski, rządzonej przez Daniela Szewca, słynnego niegdyś aktora z telenowel. Wszystko było picem na wodę, Szewc nie żył od lat, a rzekomi powstańcy sami byli trzecioligowymi aktorami. Te rzekome ofiary trafiły do rzekomych grobów i w ten sposób powstała nekropolia bez jednego autentycznego nieboszczyka. Oto i cała historia.

*

Parę minut później przyszedł Tomek i nagle byliśmy już na wizji.

Światła waliły mi w oczy jak na przesłuchaniu.

Wypytywał mnie o różne rzeczy, wyglądał jak android zrobiony na własne podobieństwo. Wzrokiem odruchowo zacząłem szukać kabli, które zastąpiły mu żyły, układów scalonych wetkniętych gdzieś między skronie, kamer w oczodołach.

— Zabiłeś i przyznajesz się do winy?

— Tak. I przyznaję się.

— Ale to była twoja dziewczyna, twoja ukochana!

— Zabiłem ją z zimną krwią, poderżnąłem jej gardło tymi oto rękami.

— Jakie myśli kołatały ci się wtedy po głowie?

— Chciałem... chciałem...

— No? Dalej.

— Nie... Bez jaj. Nie mogę tego powiedzieć — skrzywiłem się zniesmaczony. Wkurwił się strasznie.

— Gdybyśmy serio byli na wizji, to chyba bym cię zajebał gołą pięścią!

Więc nie byliśmy. Aha, dobrze wiedzieć. Dobrze znać swoje aktualne miejsce.

Światła zgasły. Ich resztki jeszcze przez chwilę biegały mi pod powiekami, niczym świętojańskie robaczki.

— To brzmi sztucznie, drętwo, nie podoba mi się. A już zdanie: „chciałem pieprzyć tą ranę, bo żywa Alicja nigdy mnie nie podniecała” jest co najmniej chore. Poza tym nie „tą”, tylko „tę”. Ty to pisałeś, Tomek?

— Nie pierdol mi tu smutków teraz, tylko czytaj, co pokazuje prompter, dobrze ci radzę po dobroci. Jak wejdziemy na wizję i znowu nawalisz, marny twój los, człowieku, marny twój los.

— Już jest marny.

Wyglądał, jakby chciał mnie walnąć w brzuch, ale chyba szybko zrozumiał, że to niewiele pomoże, skoro nic nie poczuję.

— Aśka, weź, może ty mu przegadasz centralnie do rozumu, bo ja wymiękam.

Na te słowa charakteryzatorka podeszła do mnie i spytała, czy mam jakiś problem, robiąc minę jakby kreska jej ust była tamą powstrzymującą okres przed rozlaniem się na cały pokój.

— Od czego zacząć?

— Nie leć tutaj w kulki teraz. Tomek ci idzie na rękę, a ty się wcale nie starasz, nie próbujesz nawet. Jak ci napisał, że pieprzyłeś czyjeś poderżnięte gardło, to masz tak czytać, jakbyś sam w to wierzył. Albo i więcej: masz uwierzyć, postaraj się i uwierz. Kto tam zresztą wie, czy tak nie było, od startu mi wyglądałeś na niezłego zboka.

— Odwal się — odparłem i zażądałem półgodzinnej przerwy.

Zgodzili się, sami też jej potrzebowali.

Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w szum panujący w mojej głowie. Było tam morze bez wody i fal, bez statków i wiatru. Jedno po drugim wyłaniały się z niego słowa. Przychodziły do mnie, także te, których nikt nie wypowie.

Potem cisza.

Pustka po wszystkie horyzonty.

*

Cisza, dopóki ktoś w tle nie zaczął nawijać o tym, że takich włosów to nie miał nigdy, jak Boga wszechmogącego kocha, to rzecz jasna zasługa szamponu, jednak marka robi różnicę, cena cenie nierówna, produkt leżący na wyższej półce jest ewidentnie produktem z wyższej półki. Kiedyś nie wierzył reklamom, ale teraz wie, że w tych trudnych czasach, w tym zakompleksionym, ale jednak kraju łatwiej jest żyć osobie wierzącej.

Ktoś drugi odparł, że się zgadza, na całej linii, dokładnie. Że w tym temacie jest definitywnie na tak.

Niech już idą w kurwę i dadzą mi spać — pomyślałem błagalnie, ale wiedziałem, że nikt nie ma zamiaru mnie wysłuchiwać, żadna wszechmocna istota wyższa, która nawet gdyby istniała, miałaby gdzieś ludzkie robactwo kotłujące się szaleńczo na zadupiu jednej z miliardów galaktyk.

Bezsilność, która kiedyś ogarniała mnie raz za razem, teraz była czymś ciągłym i stałym.

I zrozumiałem możliwie najgłębiej, najbardziej dobitnie, co to znaczy, że ciało jest jedynie więzieniem, jedynie ciasną, niewygodną klatką.

*

Tylko sny były teraz moje, tylko one mi zostały.

W nich wszystko było takie jaskrawe i wyraźne.

Wczoraj na przykład przyśniło mi się, że Alicja żyje, znalazła w końcu pracę w jakimś wydawnictwie, a ja z przydrożnego hamburgera awansowałem na pełnoetatowego kelnera. Powodzi nam się nieźle, ja mam zawsze kieszenie pełne napiwków. Jemy, co nam smakuje, kupujemy, jakie chcemy ubrania, i nawet raz w tygodniu możemy wyskoczyć do kina. Ostatnio zaprosiłem ją na „Katalog rzeczy ważnych”, jeden z pierwszych filmów Hammera, z okresu, gdy jeszcze nie był skończonym narkomanem. Obojgu nam się podobało, zajadaliśmy się popcornem jak dzieciaki, mimo że branie na takie filmy popcornu grozi samosądem ze strony fanów.

W tym śnie oboje wciąż mieliśmy kochających, odpowiedzialnych rodziców, nie przestających się o nas troszczyć.

Po raku mojej matki nie został nawet najmniejszy ślad. Była tak pogodna jak przed laty, skora do żartów, młoda duchem. Nie wrzeszczała nocami, jakby wnętrzości wypalał jej wrzątek. Nie zapomniała, jak mam na imię i dlaczego chcę ją przytulać, skoro widzi mnie pierwszy raz na oczy.

Mój ojciec nigdy nie wyjechał na stałe za granicę, pracował w Polsce i dostawał godziwy zarobek.

A Alicja nigdy nie straciła kontaktu ze swoją rodziną, wręcz przeciwnie,

codziennie do siebie wydzwaniali, a w weekendy spotykali na wspólnych obiadach.

Wszystko potoczyło się tak dobrze, że stało się niemal namacalne.

Potem się obudziłem.

Była noc.

W jednym miejscu była czarniejsza niż gdzie indziej, i to było drzewo.

W paru miejscach na tym drzewie była jeszcze czarniejsza, i to były kruki.

Czekałem, aż zaczną krakać, ale się nie doczekałem, bo wcześniej znowu zasnąłem.

We śnie wszystko było już jednolicie czarne.

żeby zrobić ludziom dobrze

z tym sławkiem całym to już nerwa chwyciałem.

nie mały wkurw zaczynał mną targać, bo człowiek pragnie człowiekowi podać pomocną dłoń przy promocji i organizacji jego umierania, a ten leży jak ta kłoda obesrana i narzeka, narzeka, narzeka.

takie to arcy-polskie, w kółko pierdolić, że bida z nędzą, że wprowadzie galeria kazimierz i galeria krakowska, ale cień drugiej wojny odbija się czkawką od każdej szyby wystawowej, że wprowadzie dobre chińskie i indyjskie żarcie za ćwierć ceny w promocji, ale zęby bolą i w ogóle jesień już, panie, a ja nie mam domu. słuchać czegoś takiego to dosłownie nie idzie, to jest wręcz niemożność. taka jakby sraka zmieszana z jadem leje się z języków prosto do uszu naszych, wszędzie i ze wszystkich stron naraz. dlatego przestałem jeździć szeroko pojętą komunikacją miejską, choć kiedyś lubiłem mieszać się od czasu do czasu z plebsem, ale jak ci stara wiedźma nie jebnie wykładu o hitlerowcach, komuchach i matce boskiej, to zasnąć nie może. jakoś nigdy nie widziałem tego w innych narodach, żeby na przykład amerykańnin się przejmował, że stoi w chłodnym cieniu prehistorii, a w miejscu marketu kiedyś triceratopsa zapierdolił tyranozaur.

— ty, sławek, nie próbuj na nas zwałać, na całą ekipę, że się wzięłeś i zwałeś z okna centralnie na beton. to ci nie pomoże. jak ci ładnie napisałem na prompter, to po kiego grzyba ty dostajesz zadyszki i się jąkasz?

— bo takie kłamstwa to mi stają w gardle.

— kłamstwa, zaraz tam kłamstwa. ktoś kroczyk odbiegnie od prawdy, a tu zaraz go wyzywają od łgarzy, judaszy i najchętniej by mu robili lustrację. tutaj jest przemysł rozrywkowy i chodzi, żeby się człowiek dobrze bawił, jak się mu puści program o dzieciach z białaczką, o defibrylacji kału, produkcji kinder iberaszung, rocznicy biesłanu albo o takich jak ty seryjnych mordercach i notorycznych samobójcach.

— wolałbym trzymać się faktów.

— co, do nędzy? ty mi, tutaj niżej podpisanemu pracownikowi „szczerzej prawdy”, chcesz wciskać ściemę o jakichś faktach? a o różnych punktach widzenia nigdy nie słyszałeś? weź się doedukuj, sławku, błagam, bo ja tą twoją egzekucję słabo widzę, marność nad marnościami, jak ty ani „me”, ani „be”, ani „kukuryku” w temacie na przykład relatywizm moralny, poststrukturalizm, smutek wysp tropikalnych. ale ja mam dobre serce, więc ci parę zdań powiem od siebie na pełnym marginesie. słuchaj uważnie teraz. we wszystkim idzie o to, żeby zrobić ludziom dobrze. czy jesteś gwiazdą telewizji, tancerzem, piosenkarką, pisarzem czy autorytetem z innych dziedzin, masz robić tak, jakby przed tobą

stał czyjś wydelikacowany organ rozrodczy. przede wszystkim nie szkodzić. jak ci coś choć raz wyjdzie, co się objawi napuchnięciem tego organu, to wtedy kombinujesz, kontynuujesz, ciągniesz i ciągniesz dalej w tym samym temacie. będąc artystą piszesz szybko kontynuację, będąc mówcą gadasz to, czego się innym najmilej słuchało, a będąc sparaliżowanym błaznem zachowujesz się tak, żeby każdy mógł bez przerzutów duszy i wyrzutów sumienia tobą pogardzać. czy się rozumiemy?

— i tak najlepiej będzie, jak powiem prawdę. sam zobaczysz.

— ale niby którą prawdę? — spytałem, bo już narobił takiego zamieszania, że ciężko było się połapać.

— wszystko, jak było. bez pieprzenia ran, ale za to z mózgiem przemielonym na dobre przez wyjątkowo przekonujących sekciarzy. z wiarą w zabijanie, bo nie zostały już żadne inne wiary. z dragami kręcącymi porąbane jazdy.

— dragi zamiast seksu, powiadasz... to nie wiem, nie wiem — zacząłem się namyślać i na szalach mózgowia ważyć, czy ćpanie może zrównoważyć penetrację.

pomyślmy. rozważmy całą rzecz, na chłodno.

weźmy dwie takie gwiazdy: pamelka i czaki. znacie? jak nie, to częściej telewizory i internety weźcie oglądajcie. po kolei teraz, bez pośpiechu.

pamelka była znakomitą wokalistką swego czasu, to znaczy oczywiście nie śpiewała, tylko trochę tam pojękiwała, ale za to miała genialne ciało, wybitne piersi i pipkę, której się nie zapomina i od której nie można oderwać wzroku. sprzedała sto tysięcy debiutanckiej płyty, nagrała teledysk, gdzie uwydatniła talent swoich frapujących warg sromowych, wzgórek z wygolonym wykrzyknikiem, sutków niczym dźwięki wyciągnięte poza jakąkolwiek skalę. to było dobre, jak powiedziałby pan bóg, było dobre i ludzie na to poszli, temat podłapali, w klimacie zanurzyli się po same uszy.

ale z drugiej strony był czaki. wokalista emo, z grzywką, noszący się na czarno, a zarazem strasznie brzydki, jakby quasimodo wpuszczony chyłkiem na pokaz mody. no i skończony narkoman. igły wbijał nawet w oczodół, to mu tam zaropiało i wypłynęło w czasie tournée taką podobno żółtawą pianą. były foty w prasie. śpiewał o śmierci, choć właściwie był to tylko szept. a w czasie największego koncertu dla dziesięciu tysięcy fanów zmarł na scenie z przedawkowania. najpierw dostał drgawek, jebnął w tłum gitarą, zabijając na miejscu jakiegoś dzieciaka, a potem zszedł na dobre. i co? i dwieście tysięcy płyt sprzedane jak ręką odjął.

a więc wniosek taki, że dragi również mogą być haczykiem na zblazowaną młodzież, a tu jeszcze plus bonusowy, że sławek już ma gotową nieprzeciętną charakterystykę.

— a ty wiesz co — powiedziałem w końcu. — tak mnie teraz rozczuliłeś swoją kondycją opłakaną, tak mi na strunach wewnętrznych zagrałeś, że się biorę i zgadzam. jak będziemy na wizji, powiesz tą swoją prawdę, całą prawdę i głównie prawdę, i ja kciuki trzymam za to, żeby to się sprzedało. ty też trzymaj aśka.

kropla prawdy, łyk przepaści

Żebym zdołał wydusić z siebie słowa, które chociaż w minimalnym stopniu oddałyby, co czułem, trzeba było na moment zapomnieć o całym niebożym świecie, puścić tak zwaną rzeczywistość w odstawkę.

Nic nie mogło mnie rozpraszać. Ślepe oczy kamer, puste jak lustra bez odbić obiektywy aparatów, głuche mikrofony czy bełkoczący prompter, linijka za linijką gubiący sens i wątek. To było tylko tłem, podobnie jak ludzie, którzy krzatali się po pokoju, wytwarzając masę negatywnych wibracji, od których pewnie dostałbym drgawek, gdyby nie paraliż.

Kazałem Tomkowi uciszyć to rozbrykane towarzystwo, dać mi chwilę oddechu, a potem wrzucić na wizję, żebym mógł zrobić, co było do zrobienia: opowiedzieć.

Wiedziałem, że ta historia może się okazać zbyt ciężkostrawna dla utuczonych telewizyjno-internetowo-radiową papką widzów, ale musiałem uwierzyć, że trafię w jakiś ich czuły punkt, że jednak zwrócą na mnie uwagę, przestaną się mentalnie masturbować, czy cokolwiek tam właśnie wyprawiali i dadzą drugiemu człowiekowi wreszcie dojść do głosu. Rozszczekany świat na moment zamknie jadaczkę. A życie utraci swą władzę nieustannego odwracania uwagi.

Teraz właśnie nadeszła taka szansa.

Wszystkie oczy, obiektywy, mikrofony w moją stronę.

Zmrużyłem powieki i zacząłem:

— Mam na imię Sławek, zamordowałem swoją dziewczynę i sąsiada, i stałem się więźniem własnego ciała, co pewnie wielu uzna za przewrotność losu. Kiedyś błagałbym was o wybaczenie, ale teraz wiem, że niczego nie żałuję. Zabiłem, bo chciałem zabić, właśnie taki był mój cel. Bo uwierzyłem — i wierzę mocno do teraz — że ten świat jest tylko przejściowym nieszczęściem, więzieniem toczącym się w koleinie orbity. Dobro i zło tak nam się wymieszały, że nie wiemy już, co jest czym naprawdę. Jestem absolutnie pewien, że moja ukochana, Alicja, jest już w miejscu milion razy lepszym od tego. I mam nadzieję, że ja też tam trafię niebawem. W gruncie rzeczy niemal wszyscy wierzycie w coś podobnego. Każda religia zawiera pocieszające przesłanie, że po śmieci czeka nas coś nieskończenie dobrego. Że to bolesne, wywołujące mdłości Tu i Teraz to tylko marny padół łez, a może nasza ostateczna próba, albo dzieło ślepego, zidiociałego demiurga. W takim razie czemu nadal tutaj tkwimy, z założonymi rękami przyjmując kolejne ciosy nieznośnej codzienności?... Kiedyś z wielu rzeczy nie zdawałem sobie sprawy, ale diametralnie zmieniło się to, gdy poznałem Marcina. Byłem wtedy zwykłym hamburgerem, pozbawionym smaku

produktem, jednorazowym jak wszystko wokół, w tym ometkowanym świecie urojeń i paranoi. Wciąż drepcząc w miejscu, dosłownie i w przenośni, traciłem nadzieję. Traciłem chęć do życia. Codziennie rano chciałem wyć, że sny znów nie okazały się jawą... Moja historia nie będzie długa, nie będzie skomplikowana. Sam sobie napisałem ten dramat. Słuchajcie uważnie. Pora się obudzić. Zobaczyć kraty ukryte za promieniami światła. Usłyszeć fałsz w każdym wypowiedzanym słowie. Poczucie własną celę pod zwałami mięsa, ciasną klatkę szkieletu. Zedrzeć maskę, udającą twarz. Wszystko w niczym, oto czym jesteśmy. Uwięziono nas w tych pokracznych formach, zamknięto szczelnie, otoczono pustką na wieki wieków. Ale czas to zmienić. Słuchajcie, będzie jeszcze lepiej...

popularniejszy niż rohypnol

że stanie się, co się stało, tego przypuszczać w najpiękniejszych snach nie mógł nawet człowiek tak inteligentny jak Tomek. czyli ja.

planowaliśmy rozkręcić fajną akcję i wydoić nieletką kaszanę, a eksplodował nam w dłoniach jakiś ponadformatowy fenomen, jakiś głos pokolenia nam wykwitł na poletku zwyczajnego biznesu, chleba naszego powszedniego.

sławek miał widać nosa, to jego stuprocentowo szczere przyznanie się do popełnionych czynów, jego wzruszająca prelekcja w tym temacie, dała widzom po gałach i głowach generalnie. rozdzwoniły się telefony, zawrzało na forach, przeciekło do prasy, na inne portale, skapnęło w formie dwuminutowej wstawki w wiadomościach telewizyjnych o dziewiętnastej. miej nas w opiece, panie.

a przecież nic nie zapowiadało aż takiego szału, mieliśmy skromnie urządzone salkę z łóżkiem i człowiekiem do tego łóżka przykutym na wieki wieków. mieliśmy po swojej stronie stację telewizyjną, racja, ale taką bardziej drugoligową, z podziemnego bardziej kabla, mieliśmy sporych rozmiarów witrynę internetową i tam też w okienku na żywo transmisja poszła, tak, mieliśmy koleśia reprezentującego skromny tytuł prasowy, który to wszystko se wziął i spisał, było nienajgorzej, ale kto by marzył w najbardziej mokrych snach, żeby w ciągu jednej doby się nam ta nasza medialna iskierka rozrosła do rozmiarów supernowej?

nie byłoby pewnie tak pięknie, gdyby sławek czytał, co mu wziętem i wbiłem na prompter, o nie. ale on postawił na swoim i uderzył w taki megaautentyczny klimat, że zaraz w całym pomieszczeniu zrobiła się cisza, tylko kruki gdzieś w tle krakały, wiatr gonił duchy po polach za oknami, matka ziemia obracała się leniwie w błękitnej skorupie atmosfery, nawet bez cienia skrzywienia.

gadał pół godziny, a było to jakoś tak niesamowicie intymne, jakby uprawiał romantyczną miłość z mikrofonami i kamerami, jakby obdarzał uczuciem obiektywy i lampy...

normalnie poczułem, że rośnie mi gula w gardle, jak on tłumaczył, dlaczego musiał zabić, jak przekonywał, że nasze czyste dusze zostały uwięzione w zrakowaciałych ciałach, toczących tą planetę niczym grudę gnoju ku kosmicznemu przeznaczeniu, które jest chłodem, rozpadem, rozpaczą, orgią entropii, temperaturą minus dwieście siedemdziesiąt trzy stopnie w wiekuistym cieniu, co nas wszystkich żywcem pożre. wiedziałem już, że to ludzi trafi, centralnie, niczym sopel w ich miętkie serducha, zagra im na uczuciach, taka martyrologiczna jazda bez trzymanki. że w tym roku będę miał większy podatek do zapłacenia niż cały dochód miałem w ostatnich trzech latach, że to może być

największa rzecz w polsce od czasów śmierci papieża, naszego narodowego papy. bo to było złoto, samorodek nam się wziął i sam począł, to był autentyk, geniusz wypluty na medialne łamy prosto z łona zarzyganych ulic i cuchnących szczykami bram.

zaczął się zapierdol nagle. na maksa.

zaraz wszyscy chcieli od nas dostać albo chociaż pożyczyć tudzież wydzierzawić kawałek sławka. i gdybym był cudotwórcą, to bym wziął i się zgodził, bo dobrych przychodów nigdy za dużo, ale cudotwórcą nie do końca byłem, nie, jeszcze nie, więc naszego skarbu nie mogłem w żaden sposób rozmnożyć, nie byłem zbawcą polski ani nawet województwa i nie dawałem rady tak pokroić kaleki i tak go odwodnić, żeby każdy telewidz, słuchacz, czytelnik i internauta dostał kromkę jego ciała i krwi autentycznej odrobinkę w szklance.

musiałem wziąć się w garść i na bieżąco obmyślać plan, jak kombinować, żeby wykombinować i każdego zaspokoić, ram-param-param, a się przy tym nie przegrzać, nie przepalić układów scalonych.

było ciężko, bo to, co tam się wydarzyło wtedy po transmisji, to był — nie przesadzając — kosmos z przyległościami.

komórkę myślałem, że mi weźmie i rozkurwi, tak samo zresztą skrzynkę mailową. więc trzeba było w try miga zebrać własną i zespołu dupę w troki i się wziąć jakoś zorganizować.

i wtedy tak. wszystkie media z trzeciej ligi i dalszych mogą na starcie już na drzewo spierdalać. to jest za duża sprawa, żeby jeszcze próbować zaspokajać oralnie jakichś młotków bądź ich ciotki-klotki z kędzierzyna koźla i wąchocka. otwarcie gadamy tylko z gigantami, a jeśli odezwie się średniak, to można mu i „me”, i „be” powiedzieć, ale resztę spokojnie naściemniać, chyba że z dużej kwoty gotów momentalnie wyskoczyć.

koordynuję ja. a jak mam młyn akuratnie, to się można zwrócić do pawła, którego niniejszym ze stanowiska mojego szefa awansuję na stanowisko mojej prawej ręki od spraw zaspokajania kontrahentów.

i trzeba coś zrobić z tym kaleką, bo ja z takim łóżkiem z ikei, albo nawet gorzej, nie będę w żadne dalsze trasy jeździł.

— proszę mi wózek skołować! — wykrzyknąłem. — najlepiej z czystego srebra i firmowy! bo nie mam cienia zamiaru naszej gwiazdy po mieście i szklanych pałacach korporacji medialnych w słoiku z formaliną wozić.

nikt się na to nie odezwał, to zmierzyłem ich centralnie wzrokiem i zaraz sięgnęli po komórasię i laptopy.

i dobra jest. poczułem się wszechmocny, jak bóg, mogący ciskać gromy i tworzyć sytuacje, jakie chce, na zawołanie.

i jak mi coś znowu nie zacznie grać w gaciach, telefon znaczy.

odbieram:

— mówi to mek, prezydent wszechświata i okolic — powiedziałem. nie było już grama sensu silić się na skromność, ślinić się, udając medialnego downa, skomleć nad własnym losem, jak mi konto puchło z minuty na minutę niczym prezesowi microsoftu z applem łącznie.

— tu elżbieta kristiansen, z programu „migawka”. ma pan chwilę, żeby porozmawiać?

kristiansen, ło boziu! — podjarałem się nie na żarty, omal bym nie dostał wzwołu i przedwczesnej ejakulacji. była to bowiem gwiazda tokszołów i programów rozrywkowych granych na żywo w tvn i polsacie, aktualnie zamieszana w rzeczoną już „migawkę”, gdzie oglądalność oscylowała na poziomie trzech baniek, trzech milionów widzów znaczy.

— dla pani zawsze — odparłem. — i proszę mi mówić panie tomaszu.

— panie tomaszu, nie będę owijała, chcę mieć pana i tego paralytyka, co zabił i nie zamierza nawet przeproszać, u mnie w niedługim czasie w programie. na żywca pojedziemy, ale widzę, że on wygadany, to nawet lepiej, nie trzeba mu będzie gadać w słuchawkę, co ma gadać.

— dobrze elżbietko kochana, się weźmiemy zastanowimy, ja z nim wspólnie razem. będę miał cię tutaj na uwadze i głęboko w sercu, właśnie elżbietko ciebie, ale niczego obiecać to nie jestem w stanie, bo zaraz może zadzwonić prezydent usa i plan wziąć w troki w mgnieniu powieki. rozumiesz chyba, że jestem obecnie na sporych rozmiarów fali, surfuję sobie sprawnie ponad elitami.

— i pomyślałam też...

— tak? — spytałem, marząc, czy chodzić może nawet o odbycie stosunku pochwowego, czy może wspólną kawę z widzeniem się nad zatoką san francisco, gdzie dotrzemy jej prywatnym samolotem, który nie jest bynajmniej awionetką, z tego, co dane mi było kiedyś słyszeć i na zdjęciach prasowych nawet widzieć.

— pan lubi ogólnie auta?

— niektóre lubię, choć z drugiej strony spotkałem się też z takimi, których lubić to nie lubiłem.

— bo ze znajomymi zabukowaliśmy sobie na jutro udział w „rajdzie carmageddon”. jak by to się panu widziało?

— jestem zainteresowany i zaintrygowany zarazem — odparłem, bo coś mi się kiedyś już obiło o uszy, że ten rajd to prawdziwa frajda i że tam sobie bije szeroko pojętą pianę cała śmietanka krajowej klasy wyższej i okolic.

— i proszę mi mówić tomku — dodałem prędko, już myśląc, na kogo zwalić obsługę kampanii ze sławkim na wspomniany okres, co było swoją drogą ważne, mogło otworzyć nam nowe horyzonty do zbadania. ale zaraz, zaraz, chyba ja też zasługuję na trochę laby. i kombinować trzeba, żeby zrobić teraz tak,

żebym ja po godzinach wzmożonej pracy w interesie społecznym, w sprawie generalnie dobra całego zawzzonego narodu, mógł odetchnąć w miłym towarzystwie pani kristiansen i jej dzianych kompanów.

martwy język

Nic mnie wypełnia. A na zewnątrz tak dotkliwie pełno tego wszystkiego.

W środku najwymowniejsza cisza, milczenie cenniejsze od złota. A za cienką granicą skóry nieustanny bełkot rzeczywistości, życie, śmiertelna choroba przenoszona płciowo.

Odkąd wypowiadałem się przed oczami widzów, jakaś część mnie obumarła. Być może było to serce, o ile jakieś miałem.

Teraz już chyba nie żyję.

Ciągnę na rezerwie.

Choć krew jeszcze toczy się w żyłach, a tlen tłoczy w płucach, choć historie i planety zataczają błędne koła, tam w ciemnościach wnętrza czaszki, w tym odrębnym kosmosie, ja zaczynam się wypalać. Gasną światła w kolejnych partiach mojej ciężkiej głowy, neony brzęczą coraz bardziej niemrawo, coraz mniej miarowo. Owady padają, krzyżując odnóża, zbawiciele schodzą z krzyży, gwoździe chowając do spakowanych wcześniej walizek i toreb, zwykli ludzie otulają się snami i ziemią, robaki wpełzają spod gładów, biorąc się za ostatnie porządki. Wkrótce zniknie każdy wymyślony bohater.

Czas zgasnąć, zasnąć.

Jestem zmęczony.

*

Dużo się dzieje wokół, dużo się o mnie mówi, podobno.

Pokazali mnie nawet kilka razy w telewizji.

Odkąd zobaczyłem siebie oddychającego na ekranie, odechciało mi się oddychać po tej, bledszej, zmatowiałej stronie szkła.

Niczego już nie chcę, poza śmiercią.

Pora rozłożyć się bez buntu, na proch, na popioły.

Czas wejść łagodnie w nieskończoną noc.

*

Dużo ludzi dużo do mnie gada. Co chwilę nowi. Przewodzi im oczywiście Tomek, kapitan tego Titanica.

Zadają setki pytań. Odpowiadam mechanicznie.

W moich słowach nie ma żadnej siły, są jak piasek wysypujący się z ust. To już chyba koniec, pora zamykać. Czemu nikt tego nie widzi?

Ale diabelski młyn nakręca się, zamiast zwalniać.

Przywieźli tu dla mnie wózek inwalidzki. Wygląda jak tron, cały się błyszczy.

Posadzili mnie na nim, ale raz za razem się zsuwałem albo składałem bezwładnie jak księga z kości i mięsa, więc musieli mnie przywiązać do oparcia za szyję i ramiona. Mamy jechać w wielki świat, czekają na nas programy,

wywiady, konferencje, promocje, cały ten bajzel.

Tomek mówi, że sprzedał już licencję na koszulki i wisiorki z moją podobizną. Że jesteśmy na najlepszej drodze do zbiccia gigantycznego hajsu. Że powstają blogi fanów. Że moje przyznanie się do winy było strzałem w dziesiątkę, a wykład o ciemnej stronie egzystencji zrobił ze mnie idola młodego pokolenia.

Wszystko mi jedno.

Młode pokolenie jest dokładnie takie samo jak stare, tylko wciśnięte w nowsze opakowanie.

Współczesność jest równie głupia jak przeszłość. Przyszłość będzie jeszcze głupsza, na szczęście już bez mojego udziału.

Narastające do granic absurdu szaleństwo nie jest tym, na co chciałbym patrzeć przez kolejne lata.

Ten cyrk będzie dalej tańczył, to pewne, ale beze mnie. Moje atomy zagrają już w zupełnie innych, nieinteresujących mnie równaniach. Rozwiążą się wszystkie moje wiązania, DNA rozsznuruje się na amen.

Wreszcie to, czym się czuję, będzie tym, czym faktycznie zostanę: niczym, zerem, pustym miejscem w kształcie człowieka.

Wieczność jest jak ziewanie.

*

Wszystko, co się dzieje, to długa, nudna historia, która będzie płynąć jeszcze stulecia po tym, jak znikniemy. Ja nie mam języka, żeby to opisać, nie mam wystarczających naturalnych zasobów słownictwa.

Moim jedynym komunikatem jest to komiczne balansowanie między wrzaskiem a milczeniem, śmiechem a płaczem.

Moją jedyną formą egzystencji jest to czyste, odarte ze skóry cierpienie, drżący rdzeń bycia, kulące się zwierzę, zasłaniające się przed spadającymi zewsząd ciosami tarczą urojeń: „cywilizacją”, „prawdą” i „człowieczeństwem”.

Moją muzykę środka, mój życiowy soundtrack wygrywa orkiestra much na ścierwie narodów, idei i przesądów zwanych religiami, filozofiami czy złotymi zasadami, które zaśniedziały i już nie wrócą do poprzedniego stanu.

Nic się do mnie nie klei.

Słowa, słowa, słowa.

Cokolwiek mówicie, brzmi to dla mnie tak samo jak szczekanie psów, kwik świń i wrzaski małp.

*

Chciałbym być kamieniem i czuję, że się nim stanę.

Nic wypełnia mnie szczelnie, nie odpuszcza.

Potem powoli wejdzie na zewnątrz, ryjąc tunele, podważając Królestwo.

Potem znowu potop, a potem suszenie.
Mnie wtedy nie będzie.

po łebkach

— tylko jej nie penetruj na pierwszej randce, tomek, błagam — powtarzała julka, jakby ją ktoś za wewnętrzną korbę szarpał.

— o co tobie idzie, kobieto, o co te nerwy? — ja na to.

— tyle się teraz w czasopismach pisze o syfilisach. że owszem, były swego czasu modne. że być artystą bez syfilisu było jak być reszką bez orła. ale ta moda przemija, aids podobnie. teraz na świńską grypę rozważniej zapaść, licząc na minutę sławy w formie teleekspresowej wzmianki. to jej nie penetruj, błagam!

o co ona porusza tyle słów, kruszy tyle kopii? — zastanawiałem się, nie werbalizując jednak tych uwag, bo wątpliwości wątpliwościami, ale kobiety o julki wyobraźni i możliwościach anusiowo-waginalnych pozbywać się byłoby nieopatrzenie.

prawda, że czasem odpierdalała różne sajgony, różne sarajewa pod ostrzałem, z powodów błahych.

prawda, że kiedy jej nie szło w gotowaniu, to było jakby wietnam raz jeszcze nam wyrósł pomiędzy czterema ścianami ze swoją tundrą czy tajgą i żółtkami z ryżem, kurczakiem w cieście i karabinami, ale ja jej powtarzałem: po kiego grzyba ty to gotujesz, od tego przecież jest różny plebs, który się urodził, by takim jak my crème de la crème, śmietankom ekstraklasy służyć z pokorą i uniżeniem?

— nie będzie mi osoba innej płci mówić takich rzeczy — rozgniewałem się. — moja sprawa, co wyprawiam i z kim. czy się rozumiemy, ja z tobą?

ona na to nic, ale minę ma, jakby w minę wdepnęła i się bała wykonać choćby wzruszenie ramion, by ten performance się nie skończył eksplozją nienawiści z mojej strony.

— widzę, że nie bardzo. to powtórzę dosadniej. związek otwarty, związek liberalny i solidarny zarazem, polega, że jak tobie przyjdzie na myśl zapragnąć sąsiada, listonosza albo krystyny z gazowni, to ich będziesz mieć między nogami za obopólną zgodą i aprobatą, i z mej skromniej strony poklaskiem. bo czasy marzeń niespełnionych to czasy minione. przyszedł wiek dwudziesty pierwszy i szczęście jest na wyciągnięcie dłoni. na pewno znasz, bo bez wątpienia się w szkole uczyłaś o zasadzie carpe diem, o niezbywalnym prawie każdej jednostki do szeroko pojętej radości. to czemu ty się nie cieszysz, że ja ci wypożyczyłem „weronika postanawia umrzeć” na blureju i kupiłem nowe seksi pończochy? czemu nie przykłaśniesz mentalnie pomysłowi, że gdy ja pójdę na „rajd carmageddon”, ty weźmiesz sobie do wyrka tego całego wojtka, który jedyny w podstawówce cię umiał zaspokoić, a skończył na kurdwanowie?

ona na to ma już taką minę teraz, że za moment chyba pęknie wzdłuż i

wszerz.

— wojtek ma stan przedzawałowy od picia dużych ilości coca coli — rzuca ona, ręce pod biustem splatając, co powoduje uwypuklenie obu jej kształtnych półkul, a u mnie kołatanie pikawki.

— tak do ciebie rozmawiał? to ja ci mówię, że on miał z biedy duchowej i finansowej problem amfetaminowy, bo zarabiał cztery sześćset brutto za aktorstwo, grając w reklamach proszków i strojów kąpielowych, a teraz pozuje na takiego, co z kokainą nie raz i nie dwa razy przegiął nozdrza. a taki prostak nie zasłużył na w ciebie ani jeden wkład, po moim sztywnym trupie.

— powiedział, że pięć dziewięćset — odparła julka i tak się jakoś zgarbiła, jakby grała tytułową rolę w „przygodach żółwicy z galapagos”.

ostatnio często gęsto cierpiała na takie humory, dostawała barokowych wręcz napadów feminizmu, miesięczki własne przeżywała cholernie barwnie i z pianą kapiącą z kącików ust. „monologi waginy” czytała na głos przed snem, u mnie wywołując całe chore serie nocnych koszmarów, w których potwór z bagien, jożin z bażyn, był mi ojcem oraz matką.

ucałowałem ją namiętnie w czoło, pomacałem cycka i powiedziałem, że jak będzie potulnie na mnie czekać, to jej jutro z samiusieńkiego rana zrobię dobrze.

i poszedłem, bo ciekawsze niż julka rzeczy już na mnie czekały w zanadru.

*

że elżbieta kristiansen jest lalką nie z tej planety, wręcz nie z tego wszechświata, to wiedział co drugi kretyn i gdzieś co piąty internauta nawet. ale jak ją zobaczyłem w stroju wieczorowo-sportowym, wysiadającą z wysokiego na trzy metry i długiego na pięć monster trucka, to doznałem objawienia, olśnienia i oślinienia się za jednym zamachem. bo czegoś tak przepięknego nie widziałem od czasów ostatniego wydania „sports illustrated”, czyli od dobrego kwartału, jeśli nie lepiej.

— witaj elżbietko — powiedziałem, łaszac się jak yorkshire terier i pomagając jej zejść z tej potwornej maszyny, i całując dłoń gestem, który miał mówić: możesz mi usiąść na twarzy, jeśli zapragniesz, tylko zrób to niezwłocznie, błagam.

— dobrze cię widzieć, tomek — odparła ona.

to szybkie, wręcz natychmiastowe przejście na „ty” bardzo mnie uradowało, bo ogólnie nie miałem w tej chwili nic naprzeciwno, by ta kobieta rodziła za dziewięć miechów moje dzieci, szatańskie pomioty, których mogą być setki, całe chore zastępy na bazie mojego genu. bo jak już raz w nią wejdem, nie wyjdem prawdopodobnie przez trzy tygodnie z weekendami włącznie.

— jeździłeś kiedyś czymś takim? — spytała.

w pierwszej sekundzie pomyślałem, że chodzi jej o nią samą, ale za moment

zazwoilem, że ma na myśli ten gigantyczny samochód w tle.

— nie bardzo — powiedziałem, ogarnięty nagle wstydem i obciachem z góry na dół.

— to nawet lepiej. nie lubię rutyniarzy.

sadowiąc zgrabne pośladki obok miejsca kierowcy, kazała mi usiąść za kółkiem. co też w try miga uczynilem, bo chciałem jej szybko zaimponować, jaki to ze mnie samiec alfa beta gamma, potrafiący na pniu radzić sobie z każdą kwestią, zakasujący rękawy do każdego, najcięższego nawet dylematu.

o co idzie w tym całym rajdzie, orientowałem się tylko w zarysie wykładu. to znaczy parę razy słyszałem, że sama śmietanka, najmniej liczni z nielicznych, elita elit, iber-ibermensze itd. wynajmują sobie od czasu do czasu takie właśnie monster trucki i ruszają w dzielnice nędzy i rozpaczy, gdzie średni dochód miesięczny netto na obywatela oscyluje w granicach półtora tysiąca lub mniej, a polowania z dzidami na bezpańskie psy są chlebem powszednim. policja ma rzecz jasna wcześniej posmarowane, żeby nie wchodzić im w drogę tudzież paradę. co potem, mogłem się tylko domyślać. może słowo „masakra” nie jest najlepsze, ale pierwsze mi przyszło do głowy.

zapaliłem i powoli odbiliśmy się od krawężnika.

tak potężne wozy widziałem wcześniej tylko na amerykańskich filmach, więc na starcie trochę nami szarpało i był z deczka parkinsoniczny odjazd, ale moją towarzyszkę nawet to bawiło, jakbym tym autem symulował centralnie stosunek przerywany.

bujając się, jechaliśmy czterdziecią przez miasto, przechodnie wlepiali w nas gały, nie kryjąc szoku, nie powstrzymując opadu kopary, ale my tylko spokojnie patrzyliśmy na nich z góry.

możliśmy mieć wszystko gdzieś. byliśmy oboje atrakcyjni i młodzi, spełnieni finansowo i towarzysko. świat należał do nas, czego to ryczące auto było najlepszym dowodem. jedno jego koło było gdzieś takich rozmiarów, jak cała plebejska chata, w której ciśnie się małżeństwo bezrobotnych ze zgrzewką swojego uzależnionego od kleju pomiotu.

— chciałam pogadać o tym sławku. nie masz nic naprzeciw, że z branzową nawijką ci wjadę w czas wolny? — powiedziała, co uznałem za jej duży plus, że jest bezpośrednia i preferuje szczere klimaty.

— jak nas tylko silnik nie zagłuszy, możemy spokojnie dialogować — odparłem, uśmiechając się zalotnie, szczerząc każdy wybielony ząb i napinając klatę oraz ramiona, wyrobione miesiącami siłowni i setkami łykniętych prohormonów, które — mówiąc nawiasem — ułatwiały też osiągnięcie częstych gęstych wzwodów.

— po pierwsze muszę wiedzieć, czy to aktor, czy naturszczyk. to kwestia

kluczowa dla jego honorarium.

— się zdziwisz, ale ani jedno, ani drugie. to jest autentyk, samorodek.
zmarszczyła brwi, wyregulowane w sposób wręcz artystyczny.

— torek, słuchaj, siedzę w tym biznesie nie od dziś i wiem, że w mediach wszystko jest z góry na dół ustawione. i nawet jak pokazują łysych po chemioterapii, to śmiem podejrzewać, że to tylko ekipa podpłaconych wcześniej skinów-neonazistów. więc skończ ze sraczką i powiedz, jak jest.

— no przecież mówię, centralnie. sławek to zwykły kolo z nizin społecznych i egzystencjalnych, co zabił dwie osoby i chciał strzelić samobója, ale żyje, tylko że z przetrąconymi kręgami.

— czyli mi wmawiasz, że on jest tru, a nie symulacja?

— tru, tru, jak najbardziej. wszystko, łącznie z paraliżem, jest w nim realne.

— ale chyba nie te jego wywody pseudofilozoficzne?

— to też. ciężko dać wiarę, ale on sobie uroił jakaś sektę, która niby twierdziła, że żyjemy w jednym wielkim więzieniu i tylko śmierć jest wyjściem. w ulotce szkoły językowej, co ją miał w kieszeni, widzi broszurę jakiegoś marcina, jakiejś emilki i innych mistycznych patafianów. gościowi nie przegadasz. nie dość, że kaleka, to jeszcze schizol.

— tym bardziej muszę go pokazać w „migawce”.

— no dobra, zgoda, ale sama wiesz, że nic za darmo — odparłem z uśmiechem.

— zrobię z was obu najjaśniejsze gwiazdy dekady.

— nimi będziemy i bez twojego wsparcia. filmik ze sławkim ma na jutubie już dwa miliony wejść i piętnaście tysięcy komentarzy.

— ugamam wam prawa z zagranicznymi mediami.

— już dzwoniło paru gigantów. proponuj dalej.

— zapłacę dowolną kwotę w granicach wyobraźni.

— a jak ci powiem, że moja wyobraźnia nie ma granic?

— to czego chcesz?

— ciebie.

uniosła brwi w nieudawanym zdziwieniu. oczy miała tak wielkie, jakby właśnie zesła z planu jakiejś aktorskiej wersji mangi.

— zacznijmy, że zrobisz mi teraz fajnego lodzika z połykiem.

— niewykonalne.

ja pierdykam. no szok po prostu. żadna mi nie odmówiła od czasu studiów chyba. nie mieściło się to w pale, że tak za przeproszeniem powiem.

— czemu? bo jedziemy tym gratem i się boisz karambolu?

— nie. jesteś na tyle przystojny, że nawet wypadek nie wchodziłby mi w paradę. i pewnie masz dużego na dodatek.

- dwie dychy, idealny w kształcie.
- no widzisz. ale ja jestem... aseksualna.
- cssso?! — krzyknąłem bezwiednie.

dogłębny wstrząs to mało powiedziane. słyszałem wprawdzie kiedyś o istnieniu takiej mniejszości, ale myślałem, że to miejskie legendy, baśnie z czasów średniowiecznych, ewentualnie wymysł zakonnic o twarzach buraków cukrowych, a nie piękności w typie elżbietki.

— której partii tekstu nie dosłyszałaś?

— dosłyszałem każdą literę, ale pojąć nie mogę. przecież nieraz widziałem twoje barwne kopulacje na okładkach prasy kolorowej, w internetach całe wręcz pokazy slajdów.

— zwykle fotoszopy, z moją twarzą doklejoną. bo ja staram się zachowywać pozory, choć nigdy z nikim nie spałam. jestem jeszcze dziewicą. wiem, że teraz chcesz mnie nawet bardziej, ale zapomnij.

— przepraszam za wyrażenie, ale czy ciebie stuprocentowo pojechało?

— nie, po prostu brzydzę się ludźmi. zwierzętami zresztą też. mierzi mnie wszystko, co jest zrobione z mięsa. mięso mi śmierdzi, jestem wegetarianką z tego powodu. jak miałam pięć lat, ojciec zaciągnął mnie do łazienki i kazał zrobić to, co ty teraz proponujesz. a wtedy nie było jeszcze w sejmie „mniejszości pedofilskiej”, nikomu się nawet o tym nie śniło.

— i do tej pory robisz z tego dramat? powinnaś być dumna, bo to znaczy, że naprawdę cię kochał.

— kochał, nie kochał — bełkot rodem z trzecioliigowych tokszołów. nie jestem chyba wystarczająco postępową, ale nie mów nikomu. jako dziecko też nie byłam. ugryzłam go wtedy w tego fiuta i to był jeden jedyny raz, jak miałam ludzkie mięso w ustach.

ogarnąć tego to nie byłem w stanie.

kurwa, kurwa, kurwa do potęgi piętnastej razy pi er kwadrat. żeby ktoś na własne życzenie zrzekał się największej przyjemności oprócz zarabiania hajsu, jaka jest dostępna w tym wymiarze czasoprzestrzennym, zostawał jakąś dziewicą, co jest przecież zboczeniem najbardziej parszywym z możliwych, najbardziej chorym. to jest dramat teatralny i moralny zarazem, arcyłudzki upadek.

nie wiedząc, co powiedzieć, wyznałem:

— kocham cię.

znałem te słowa z kilku komedii romantycznych, które julka zapodawała sobie na blureju. tam one właśnie padały i po nich najczęściej następował jakiś — mniejszy lub większy — seksik.

— nie żartuj nawet, na mnie to nie działa — odparła elżbietka.

kompletnie mi wtedy już zatkało kakao. popadłem w mentalny kolaps.

— więc mówisz, że nie ma najmniejszej szansy, żebyśmy to poczynili? nawet po misjonarsku, z zachowaniem religijnych standardów penetracji i błogosławieństwem samego trzydziestotrzyletniego prawiczka, świeć panie nad jego nieuczesałą, amen?

— nawet.

— nawet przy zgaszonym świetle, pod poświęconą przez biskupa kołdrą i z zapalonym kadzidłem?

— boję się ciemności.

te słowa wgniotły mnie w fotel.

od razu wróciły wspomnienia pełne melancholii. dzieciństwo z całym pachnącym cukrową watą i landrynkami dobrodziejstwem inwentarza...

*

mam lat trzynaście i do pierwszego razu jeszcze kawał czasu. kolega, co nie wiem już teraz nawet, jak się nazywał, przynosi mi na płycie film porno zassany z sieci, która wtedy była dopiero w powijakach. oglądamy razem, starych nie ma, nikt nam nie siedzi na karku. i w tym pornolu co ja widzę najlepszego? widzę ni mniej, ni więcej, tylko najpiękniejszą kobietę w kosmosie. głos z offu mówi, że matka pochodziła z terenu persji, a ojciec był norwegiem. choć mogą to być kłamstwa, gadka-szmatka dla podniety małolatów. jej twarz jest idealna, usta ani za wąskie, ani za szerokie, oczy niewinne, jak u sarny, zajączka, wszystkich tych nieboraków rodem z mchu i paproci, nos zadarty, ale bez przesady. blada, ale na policzkach delikatnie zarumieniona. włosy ciemne, lecz jeszcze nie czarne. ciało ani anorektyczne, ani pulchne, doskonale wyważone. piersi naturalne, sutki jak spłaszczone truskawki, bardziej różowe niż czerwone. po prostu ideał płci pięknej. coś, czego do końca dni nie wymaże się z twardego dysku wyobraźni.

i w tym filmie jakiś przypakowany debil rozebrał to arcydzieło i ordynarnie zerznął. potem ten gostek powiedział: „tera idziemy w plener, zrobimy to w lesie, w tym magicznym lesie”. a ona na to: „boję się ciemności” i po kolejnej scenie ruchania, tym razem wśród drzew, film się skończył jak nożem uciął. walczyłem z sobą, żeby się nie rozbeczeć.

przez następny miesiąc nałogowo szukałem pornoli z tą aktorką. ale ona grała tylko w tym jednym jedynym. potem jeszcze trafiłem na jakiś horror, gdzie była na drugim planie i zginęła od ciosu łomem w skroń, w drgawkach.

dowiedziałem się, że używała pseudonimu amanda black i że miała dziewiętnaście lat. i że ubiegłej jesieni popełniła samobójstwo, skacząc z mostu.

byłem w ciężkim dole przez cały nieboży tydzień.

gdyby elżbietka nie wypowiedziała teraz tej pamiętnej kwestii, nie przypomniałbym sobie nigdy amandy i osobistej tragedii z nią związanej.

przeklęte baby, wszystko umieją zrujnować, tylko usta otwierając.

*

— ja też się boję, ale jeszcze bardziej buki z muminków, jest to mój osobisty koszmar, mój personalny holokaust — odparłem.

— dziwna rzecz ten strach. na przykład mniej mnie przeraża, jak ktoś ginie albo jest śmiertelnie chory, niż jak się dowiedziałam, że doktor polanik nie zagra w drugim sezonie serialu „szpitalna”.

— to nie wiem nawet, bo tych gówienek różnych o lekarzach specjalnie często nie zapodaję. wolę się pogapić przykładowo, jak idzie „noktowizor” w nocy.

— a co to?

— taki jakby paradokument, że studencka ekipa z agh wpada na chatę młodym małżeństwu i nagrywa kamerą noktowizyjną, co tam wyprawiają.

— aha — odparła elżbietka, wzdychając.

domyśliłem się, że taki temat nie bardzo ją kręci.

nie wiedziałem już kompletnie, o czym do niej rozmawiać. a podobała mi się teraz jeszcze mocniej.

zaśmiałem się w duchu.

widzisz, tomek, co się porobiło. będziesz znowu musiał pokrywać tą swoją nudną julkę, wmawiając se, że to nie ona, tylko ta tutaj. co nie zmienia faktu, że weźmiesz sławka do „migawki”, wypowiadasz go pod czujnym wzrokiem kamer, znowu zagrasz wyluzowaną gwiazdę.

*

wjechaliśmy w dzielnicę nędzy. zaroilo się od kościołów i trzecioligowych supermarketów. ludzie nosili tu stroje podrobione już na poziomie nitki, kupione w różnych second handach. matki woziły w kanciastych wózkach swoje płody, będące zresztą od poczęcia poronionym pomysłem. różne stare pokurcza ciągnęły na sznurkach zwierzęta w rodzaju nierasowych psów, nieperskich kotów. rozciągała się tutaj jakby filia trzeciego świata.

na jednym ze skrzyżowań czekały już na nas trzy inne monster trucki.

— to teraz słuchaj — powiedziała elżbietka ze znanstwem — możesz wjeżdżać na inne samochody, potrącać przechodniów, ładować się w wystawy sklepowe. każdy z nas ma na lusterkach kamerki, żeby można było po całej akcji zliczyć punktację. bo nie jest tak, że każdy wypadek jest tyle samo warty. na przykład przejechanie staruszce kundla to ledwo sto punktów, ale już przewrócenie na dach wozu wiozącego pełną plebejską rodzinę, to punktów osiemset. pamiętam, że jeden z zeszłorocznych zwycięzców w niedzielę się wtrynił do kościoła, rozjeżdżając czternaście osób, w tym dwie śmiertelnie. zgarnął trzy tysiące punktów i oczywiście wygrał. idzie o to, żeby się nie

ograniczać.

— rozumiem, wszystko klarowne — odparłem, ale przeszedł mi już cały entuzjazm.

od chwili, jak przypomniała mi się amanda, centralnie odeszła mi chęć wszelkiego karambolu, chęć wszelkiej kraksy. wpadłem w podły nastrój, ciemne chmury zebrały mi się nad głową i pragnąłem tylko wrócić do domu, zaszyć się pod kołdrą i wspominać tamtego cudownego pornola. być może się nawet z tej okazji trochę potasować, by odegnać rozpacz.

raid skończył się trzy godziny później. zająłem ostatnie miejsce, zdobywając tylko dwieście punktów. zaraz po starcie wrąbałem się w śmieciarkę i uszkodziłem sobie zawieszenie. gdybym przy okazji nie złamał nogi jakiejś emerytce, byłaby kompletna kompromitacja.

bezsennik

Nie zostawiają mnie samego ani na chwilę. Trzymają na tej żalosnej, krótkiej smyczy życia, a ja wyję w myślach, wyję jak skopany pies, choć żaden dźwięk nie maści przyjaznej atmosfery.

Stałem się obwoźną rozrywką.

Skarb na drogocennym wózku inwalidzkim.

Medialny burdel na kółkach.

Bohater jednego przeboju: zabójstwa w sosie krwawym i samobója, który nie wypalił.

Przewijają się przed oczami programy, do których jestem zapraszany, przetaczają obsługujące je sztaby. Wszyscy są mili i tak szeroko się uśmiechają, podają mi ręce i histerycznie parskają, że nie mogę odpowiedzieć tym samym, że przewracam oczami, bo nad resztą nie mam władzy, że wywalam język jak zbuntowany bachor i zaraz staję się ich dzieciakiem, ich najdroższą zabawką, kurą znoszącą diamentowe jaja.

To tylko marionetki. Właśnie oni, nie ja, choć sądzą inaczej. Końce żyłek nikną gdzieś, zasłonięte przez ciemność. Każdym ruchem ktoś steruje, chciałbym go spotkać, o tak, sam na sam, dorwać wreszcie. Bo ktoś przecież nakręcił ten mechanizm, rzucił planety i gwiazdy na spiętrzone fałdy czasoprzestrzeni jak kamienne kaczkę na fale. Jakiś gówniarz albo gówniara, to pewne, tylko bardzo chore dziecko może się tak zabawiać. To samo, które teraz próbuje odwracać moją uwagę od sedna sprawy, kreując szum medialny.

*

— Co on taki niemrawy, doła złapał? — powiedział jakiś brodaty dziennikarzyna przed kolejnym wywiadem. W oczach miał głęboki strach, bo sam nigdy jeszcze prawdziwego doła nie złapał, życie idzie mu jak z płatka. Z nadzieją patrzy w przyszłość, regularnie chodzi na różne badania, jest zdrowy pod każdym względem — przykładna część nowoczesnego postmodernistycznego społeczeństwa.

— Chciałbym coś zrobić, mogę? — spytałem go.

— Dobra, dobra, jak mam ci, człowieku, pomóc?

— Chciałbym tak mocno ci przypierdolić, żeby kość nosowa wjechała ci do śródmózgowia. A skoro nie ruszę nawet pięścią, bo nie dam rady, sam musisz ten zamach na siebie wykonać. Będę cię dopingował.

Roześmiał się, choć był to chichot podszyty najgłębszym przerażeniem. Widział, że nie gram, że naprawdę pragnę czegoś takiego. Do tej pory nie miał okazji się przekonać, czym jest prawdziwe zło. Czytał pewnie kiedyś jakieś thrillery albo widział w kinie i zdawał sobie sprawę, że różne świry łażą po

ulicach, na własnych zębach ostrzą noże w wilgotnych, obrośniętych mchem zaułkach, ale to raczej wymysł niż prawda, raczej symulacja zbrodni niż rzeczywista zbrodnia doskonała.

Nawet nie podejrzewał, jakie pomysły mogą zrodzić się z najgłębszej desperacji.

*

Żeby zdobyć duszę dla samego siebie, trzeba zstąpić do najgorszych piekieł, ale przecież teraz nikt w to nie uwierzy, łatwiej myśleć, że nie ma nic więcej, nic oprócz ludzkich skorup doprowadzonych do perfekcji.

Skoro Bóg i Szatan okazali się bajką, to chyba nie ma się już czego bać. Ale ze strachem nie idzie tak łatwo, każdego w końcu chwyci za gardło. Popatrzcie choćby na mnie. Chcielibyście tak skończyć?

Albo inaczej: jesteście finansowo ustawieni, ale pewnego dnia tracicie wszystko, do ostatniego grosza. Próbujecie zebrać, nie wychodzi. Jest zimno i ciemno, nie macie gdzie mieszkać, jesteście głodni, włączycie się po jakichś opuszczonych ruderach. I nagle kątem oka zauważacie kogoś biorącego kasę z bankomatu. Poza nim w zasięgu wzroku nie ma nikogo. Nie macie nic, więc nie macie też nic do stracenia.

Czy naprawdę nie spróbowalibyście złapać drugiej szansy? Zanim tamten czy tamta wyloguje się ze swojego konta, można przecież spokojnie podejść, wziąć zamach, trafić pięścią w skroń, żeby jedyny świadek stał się zarazem jedyną ofiarą. Nie ma Boga, więc nikt nie musi wam wybaczać. Nie ma Szatana, więc nikt wam wyrzutów nie będzie robił. Żeby was nie dopadł wymiar sprawiedliwości, wystarczy, że zasłonicie twarz — kamera przy bankomacie zarejestruje tylko ciemną plamę. Tym się właśnie staliście, ciemnymi plamami, zlewającymi się z nocą w jedną całość. Pomyślcie nad tym. Wybaczycie sobie, przecież zmusiły was okoliczności, a jeśli nie one, to pewnie wina genów, może ktoś ze strony ojca lub matki był popierdolony. Wmówicie sobie, że nie byliście wtedy sobą, przecież nikt nie jest sobą, co to w ogóle za poroniony pomysł? I jak? Nie zrobicie tego? Nie popełnicie grzechu w świecie, który wyparł się tego pojęcia?

Dlatego właśnie ja jestem świętym, błogosławionym, wniebowziętym. Wszechmocnym w swojej bezsilności. Tym, który wyzwolił swoją dziewczynę ze szponów skurwienia, zezwierzęczenia, z waszych łap wyciągniętych po wciąż więcej i więcej. Lepszy od was, lepszy od kogokolwiek.

Dlatego już jestem zbawiony, choć jeszcze przybity do ciała, zawieszony w pustce na niewidocznych gwoździach.

Im mniej jestem człowiekiem, tym bardziej czuję się żywołem.

*

Sny odeszły.

Odkleiły się ode mnie, na dobre i na złe.

Bezsenny leżę w pokoju hotelowym.

Za cienkimi drzwiami trwa popijawa, Tomek, jakiś koleś i jeszcze jakieś dwie laski oblewają sukcesy, głośno dyskutują, wybuchając raz po raz chorobliwym śmiechem.

Zgasili mi światło, więc jestem ja i ciemność. Dobrana para, nie ma co. Ale za późno, żeby narzekać.

Moja głowa jest ciężka.

Moja głowa jest jasną plamą w rozległej ramie czerni.

W niej dźwigam wszystko, czego nie ma — każdy możliwy wszechświat.

To na swój sposób straszne. Na swój sposób piękne.

Próbuję wspominać ostatni sen, w którym ja i Alicja poszliśmy gdzieś zjeść pizzę, chyba z salami i papryką. Były nawet świece, było ciepło, pachniało przyprawami i topiącym się serem. Gadaliśmy, że fajnie by było wyskakiwać gdzieś częściej, szkoda, że ona robi wieczorami, a ja zazwyczaj w dzień, może jak znajdę coś innego, to jakoś się zsynchronizujemy i będzie dobrze, lepiej niż jest.

Mówiła, że czasem to wszystko wydaje jej się śmieszne, widok tych facetów ze spuszczoneymi gaciami, że to przecież komedia, jakiś skecz z wątkiem erotycznym.

Ja powiedziałem, że bycie hamburgerem to też nic poważnego. Że skoro przechodniów to tak strasznie bawi, mnie też powinno.

Ona na to, że chyba wcale nie jesteśmy w Piekło, że bzdury opowiadałem, że to tak naprawdę Niebo przez wielkie „N”, aniołowie zasiadają w korporacjach, aniołowie liczą banknoty w klimatyzowanych bankach, Stwórca jest drugoligowym reżyserem teatralnym, zbiera fatalne recenzje i pomału nikt już nie chce u niego grać.

Śmialiśmy się długo i szczerze.

Potem się obudziłem i znów byłem bohaterem, znów musiałem gdzieś jechać, wsadzili mnie na wózek, a wózek do limuzyny.

Jakieś dzieciaki chciały autograf, ale nie zdążyły, ruszyliśmy z piskiem opon. Dwa radiowozy na sygnale nas obstawiały, wyły jak bestie z innego wymiaru.

Zresztą żeby się tym maślakom podpisać, musiałbym wziąć długopis w zęby, innej możliwości nie miałem.

*

To był ostatni sen, ten o pizzerii, kolejne nie chcą przyjść, nie ma ich nawet u kogo wyżebrać.

Leżę bezsenny.

Ciąży mi głowa. Jest teraz pełna. Tyle w niej myśli, że zaraz się przeleją.

Ciała nie mam. To oczywiste. Ciało było wynajęte i przyszedł termin, że trzeba było zwrócić. W tym momencie nie byłoby nawet jak przebrać mnie za hamburgera. Wystarczy, że wciąż jeszcze jestem przebrany za człowieka. Choć niezbyt pasuje mi ta rola.

Jestem już za bardzo oderwany od rzeczywistości, byście mogli pojąć choć jedno moje słowo.

Wszyscy wierzą, że ze mnie to chyba jakiś prorok-morderca, psychopata-schizofrenik, zbrodniczy maniak od siedmiu boleści. Klisze próbują się nałożyć na ogień, którym jestem, ale gną się i więdną, żaden schemat mnie nie sięgnie, w żadnej szufladce nie zmieści się nic tak monstrualnego.

Tomek ubiera mnie w koszulki z Freddieм Kruegerem, Jasonem i Letherface'm. Próbuje kreować odpowiednią atmosferę. Chce dorobić mi jakąś rozpoznawalną gębę, żeby target wiedział, że też jestem dobrym celem, że warto mnie wziąć na języki i sięgać dla mnie po portfele.

Dziś w czasie show wypatrzyłem na widowni dziewczyny, które nosiły na szyjach wisiorki ze mną na wózku inwalidzkim, a inne z kolei — koszulki z moją twarzą, gdzie miałem na skroniach koronę z kabli i wtyczek; jaśniałem jak nowy zbawca. Nie mogłem się przez to skoncentrować. Prowadząca pytała akurat, czy Alicja bardzo krwawiła, gdy stało się, co się stało. Zwyzywałem ją od najgorszych i oplułem. Była wściekła, chciała przerwać nagranie. Ale wszyscy bili brawo. Myśleli, że to część programu.

Im się chyba wydaje, że i ja jestem tylko częścią programu. Że mogę stać się ich ikoną, z którą będą się identyfikować.

Niedoczekanie.

okiem migawki

studio bycze, w pyte światel, jakieś cuda-niewidy, na starcie buchające konfetti, petardy, dym gęsty jak budyń, a z niego wyłaniały się twarze członków ekipy, ich pomocne dłonie, bez których byśmy tam bładzili, zgubili się na dobre.

pchałem wózek ze sławkim. nie było letko, bo to człowiek ciężkawy z masy i z charakteru. bonusowo japa mu się nie chciała zamknąć, nawijał i nawijał jak jakiś maniak, prekursor każdej filmowej psychozy i paranoidalnych jazd.

— a po wszystkim kupisz mi, tomek, motor, najlepiej kawasaki, wsadzisz na niego, żebym mógł zjechać w największą w polsce przepaść, żebym mógł się wreszcie zabić, odkręcić skręcony kark. racja?

byłem gotów mu to obiecać, obiecanki-cacanki, bo marzyłem, żeby skończył pierdolenie i wreszcie się zamknął.

w ostatnich dniach zaczęła mu korba już centralnie odwalać, chciał pizzę ze salami, chciał motor kawasaki, chciał żeby mu amputować całe ciało. zachowywał się wręcz skandalicznie, wczorajsza konferencja prasowa była druzgocącą padaką, ludzie nie wierzyli własnym uszom, co on w ogóle do nich rozmawiał:

— panie sławku, jak pan myśli, wypali u nas nadchodzące już lada moment euro 2012?

— od dawna nic nie myślę, nic nie uważam na żaden temat. ale jeśli pyta pani o datę końca świata, to powiem tylko, że kopanie piłki tarczowej lub motorowej skończyć się może ciężkim inwalidztwem. bo może piłka jest jedna, a nogi są dwie, ale nie mogą się doczekać czasów, aż każdy kretyn w tym kraju będzie beznogi albo sparaliżowany. dopinguję zatem wyłącznie drużynę psychopatów.

nie wiadomo, czy śmiać się, czy ryczeć, czy łyzy ronić, czy robić przysiady. on to wypowiedział z taką powagą, jakby to była kolejna prawda objawiona, którą mu przekazał ten cały marcin czy jak mu tam.

a teraz pchałem jego i jego ciężkie ego przez gęste dymy sceny, gdzie rozegrać się miał program „migawka”. nie była to bynajmniej z górki jazda. sławek nawijał o końcu czasów i zbawieniu na kółkach firmy kawasaki, a mi cała dusza z przyległościami podchodziła już pomału do gardła.

— tutaj, panie tomku — krzyknęła elżbietka kristiansen, naprowadzając nas na cel, którym w tym wypadku była pluszowa kanapa w kolorze złotym, wyłaniająca się ze sztucznej mgły, która chciała nas żywcem pożreć.

— jest dobrze — odkrzyknąłem.

choć gówno tam, nie było dobrze, szum medialny ostatniego tygodnia nawet dla mnie okazał się zbyt ogłuszający. pieniądz pieniądzem, ale jak ci prezydent

jebanej polski dzwoni na komórkę o drugiej w nocy, że chce ciebie i twoją gwiazdę mieć jutro z rana w pałacu na śniadaniu, bagietki z kawiozem i latte machiatto, to zaczynasz dostawać pomału torsji. że o biegunce nokautującej mojego biednego anusia od czterdziestu ośmiu godzin nie wspomnę.

postawiłem wózek pod czujnym okiem kamer, sam usadowiłem się na kanapie. dym zaczął opadać. elżbietka usiadła koło mnie i powinienem chyba w try miga zdrętwieć z pożądania, ale raczej było mi żal, że oto coś, czego mieć nie mogę, jest na wyciągnięcie roztrzęsionych dłoni.

mgła opadła na dobre, ukazując naszym przekrwionym ze zmęczenia i podkurwienia oczom liczącą dobre kilkaset osób widownię. głównie młodzież, taka bardziej w stylu emo, sekciarska jej mać, pofarbowane na czarno włosy, tak samo paznokcie, odcieniami czerni wyszminekowane usta, stroje w barwie skrzydeł kruka czy gawrona, jeśli nie gorzej. i chyba z dosłownie każdej szyi zwisał wisior z wózkim inwalidzkim i figurką sławka. w ostatnich dniach rozeszło się w kioskach, empikach i salonikach prasowych około pięćdziesiąt tysięcy tych wisiorów po dziesięć do dwudziestu złotych, w zależności od wielkości.

rozległy się ogłuszające brawa, rozbłysły petardy po bokach sceny, dźwiękowiec zapodał „irresponsible hate anthem” marilyna masona, każdy dźwięk ostro walił po kościach, bo nie jest to bynajmniej hymn miłosny.

potem cisza.

zaświeciły się lampki w kamerach, co znaczyło, że właśnie przed telewizorami śledzą nas grube miliony, bo jechaliśmy na żywo.

— witam państwa, z tej strony szkła elżbieta kristiansen, to jest program „migawka”, w którym gościmy dziś dwie najgorętsze postaci ostatnich szokujących wydarzeń...

potem nas przedstawiła i nawijała na nasz temat z pięć minut, jakby nikt o nas jeszcze nie słyszał, a przecież nie słyszeli tylko głusi, nie widzieli tylko ślepi. od kilku dni byliśmy wszędzie: na okładkach, plakatach, billboardach, w telewizorach, odbiornikach radiowych, z monitorów nawet spoglądaliśmy raz za razem na blade twarze fanów i zwykłych internautów niezorientowanych w dokonującym się cudzie.

— tomku, pozwól, ciebie spytam najpierw. czy spodziewałeś się choć przez moment, że sprawy mogą się potoczyć aż tak ewidentnie na twoją korzyść?

— nie — odparłem. — i chciałbym z tego miejsca podziękować bogu wszechmogącemu, że dał mi taką szansę, i wam, bracia i siostry. chcę także pogratulować najukochańszym mamie i tacie, że zdecydowali się począć takiego utalentowanego mnie, który zdołał się poznać na sile przebiccia sławka i medialności zdarzeń z nim bezpośrednio związanych. to także dzięki wam,

kochani.

od braw cała scena zadrżała. gdzieś z prawej wytrysnęło trochę brokatu, zwiększając tylko zamęt, był to bowiem chyba wytrysk przedwczesny, pozaprogramowy.

— jeśli mam być szczerą — powiedziała z uśmiechem prowadząca, która dziś wyglądała tak, że schrupać by ją żywcem chciał nawet zimpotencjały dziad i jego żona nieboszczka. — to od czasów charliego masona nie pamiętam, żeby ktoś zamieszany w brutalne bądź co bądź morderstwo stał się równie wielką gwiazdą mediów. nie miała w tym zasługa nietuzinkowej osobowości sławka, który w swojej zbrodni wspomagał się mistycyzmem i filozofią, zamiast iść na łatwiznę i wbijać w ofiarę wyłącznie bezideowe ostrze. sławku, co nam na ten temat powiesz?

cisza.

już miałem go szturchnąć w ten tępy łeb, gdy zaczął:

— powtarzałem to sto razy i powtórzę jeszcze raz: ja nikogo nie zabiłem.

kolejna cisza, gęsta jak ścięte białko.

aż mi ta moja sraczka cała stanęła na moment w okolicach krtani, że mój paralityk wyskakuje nagle z czymś takim. bo jak nie zabił, jak zabił, autentyczną krew widzieli ludzie na jego ubraniu, niemarkowym.

— żart, ha ha! — dodał po paru sekundach sławek, a udawany śmiech, jaki dobiegł z widowni, bardziej wgniatał w glebę niż niejedna fala tsunami, niejedno tornado.

— a mówiąc serio: chodziło oczywiście o zbawienie, o dostąpienie wreszcie tego zapowiadanego szumnie szczęścia. ja i moja dziewczyna, alicja, byliśmy w bardzo nieciekawym położeniu. ona robiła w tym czasie jako cum doll, nie mogła spać, płakała, miała częste wybuchy złości, napady histerycznego chichotu. ja stałem jako hamburger w okolicach centrum krakowa, kulturalnej stolicy polski. było mi z tym źle i zarabiałem komiczne grosze. w takich okolicznościach poznałem marcina. dzięki niemu pojąłem, że nie muszę tkwić w szambie, że mogę zabić siebie i swoją ukochaną, żeby na dobre z tym wszystkim skończyć. żeby się z tej koszmarnej rzeczywistości po prostu wydostać.

— opowiedz coś więcej o alicji. kochałeś ją naprawdę, czy tylko udawałeś, żeby móc jej regularnie zdejmować majtki?

— bardzo kochałem. była wrażliwa i dobra. i do podłej współczesności pasowała jak pięść do nosa. zawsze marzyła o czymś lepszym, o jakimś miejscu, gdzie moglibyśmy oboje uciec, kiedyś, gdy nam się wreszcie poszczęści. krótko przed śmiercią wyznała mi, że kiedyś pisała wiersze. to mnie głęboko poruszyło, bo sam nigdy nie miałem odwagi wykrzyczeć cierpień na papierze.

— a marcin?

— marcin i jego znajomi... oni otworzyli mi oczy.

— ale przecież nie istnieli w rzeczywistej rzeczywistości. to byli twoi wymyśleni przyjaciele, tak?

— nie wiem.

wydawali się bardziej realni niż wszystko, co mnie teraz otacza.

— bardziej realni niż ty sam?

przez chwilę nic nie mówił, a potem wypalił:

— niż ten wózek. albo motory kawasaki.

wiedziałem, że zaraz może pogrążyć się w bełkocie, zanurzyć na dobre w strumieniu podświadomości, chrząknąłem więc głośno, żeby elżbietka mogła to wszystko skierować szybko na inny tor.

na szczęście od razu zazwoiła, co się święci i o co w ogóle chodzi w tym momencie.

— torek, może ty nam powiesz. sławek jest teraz sławny, ale co się z nim stanie w najbliższym czasie. wcześniej wspominałeś, że kara śmierci jest jedynym sprawiedliwym rozwiązaniem.

— dalej tak uważam. jesteśmy w trakcie zaocznego procesu, i tyle powiem, że wyrok będzie lada moment.

— to znaczy kiedy? możesz podać konkretny termin? z pewnością fani sławka już się niecierpliwią.

udałem wtedy teatralnie, że dzwoni mi telefon, co było oczywiście wcześniej ustawione.

pomamrotałem przez chwilę do głuchej słuchawki, a potem powiedziałem na głos:

— w przyszłym tygodniu sławek zostanie stracony na krześle elektrycznym. wyrok ten jest prawomocny.

z widowni dał się słyszeć jęk, jakby każdy tam stracił właśnie życiowego partnera, jeśli nie lepiej. potem kilka osób zaczęło skandować imię sławka, ale po chwili ucichły.

elżbietka była podekscytowana maksymalnie, siedziała jak na szpilkach, choć szpilki to miała, owszem, ale na stopach.

— oczywiście nie pozwolisz, aby wyrok też wykonano zaocznie, prawda? chcesz z tego zrobić gigantyczny reality show, nie tak?

— jasna sprawa — odparłem. — jeszcze dziś na łamach portalu „szczerza prawda” podamy szczegóły tego — przepraszam za wyrażenie — karkołomnego wydarzenia medialnego. spodziewać się można widowiska, jakiego nie zaznały jeszcze nigdy ludzkie zmysły. będzie to kara śmierci połączona z konkursem esemesowym i koncertem wielkich gwiazd. będzie to coś dla oka, ucha i ducha. coś specjalnie dla was, moi kochani — tu zwróciłem się bezpośrednio do widzów

z inwokacją w formie zapraszającego uśmiechu, który miał dobitnie powiedzieć: tylko u nas zobaczycie prawdziwą śmierć, reszta to tylko efektowne śmieci.

— a co na to sławek, nasz główny zainteresowany?

zapytany przez parę sekund znowu milczał, ale na mgnienie od uczynienia mi kolejnego obciachu na szczęście przerwał tą głuchą ciszę:

— to sprawiedliwy wyrok. powinienem umrzeć, zgadzam się. za to, co uczyniłem. zgon za zgon. nie ma lekko. poderżnąłem gardło dwóm niewinnym osobom, nie wstydę się tego, nie żądam litości ani przebaczenia. w świetle faktów wygląda na to, że już dawno wybrałem ciemność. i teraz wiem, że ciemna strona mocy musi z jasną przegrać. jest stracona na starcie. więc do końca będę, jaki będę, i zostanę wierny własnej porażce. bo wiecie jak jest? gardzę wami. wszystkimi wami, tu i przed telewizorami. jesteście tylko mięsem wpatrzonym tępo w ekrany. marionetkami na sznurkach wadliwych genów. jesteście niczym i nic po was nie zostanie. zapamiętajcie sobie. moja nienawiść jest niewyczerpanym ogniem, będzie trwała jeszcze wieki po tym, jak ja sam już spłonę. chcecie mnie zabić prądem? proszę. bardzo proszę. to mnie tylko wzmocni. wyjdę z ciała i przez kable przepłynę do was, przez przewody, modemy, telewizory, cokolwiek, przez nudne popołudnia i pędy pępowin, przez pętle waszych ciasnych horyzontów. jestem słońcem ciemności, ostatnią gwiazdą końca. nie muszę tego mówić. przecież dawno stałem się historią.

drugie przyjście

Dni wyjątkowo senne i wybitnie bezsenne noce.

Gdy słońce świeci, naprawdę wiele się dzieje, wszyscy tańczą, jak zagram, ale nocami nie dzieje się zupełnie nic, wszystko zamiera. I wtedy oni do mnie przychodzą.

*

— Wózek to niezła metafora, co?

Marcin wygląda znacznie starszej, niż gdy go pierwszy raz spotkałem. Jest siwy i skurczony, twarz mu się zapada, jakby kości nie wytrzymały naporu skóry ciężkiej od zmarszczek.

— Metafora? Czego? — pytam, choć chyba bardziej w myślach niż poza nimi.

— Upadku motoryzacji, komunikacji i świata — odpowiada i wybucha śmiechem tak strasznym, że doznaję fantomowego bólu całego ciała.

— Śniesz mi się tylko — stwierdzam ze zgrozą.

— Nie — mówi on. — Sny odeszły na dobre. Snów hostia postna lub jawnie wypłuta. Zrezygnowałeś z resztek marzeń na rzecz zgłębiania.

— Zgłębiania? Niby czego?

Kładzie mi palec na ustach.

— Nie powiem — szepcze. — To niewypowiadalne. Nienazywalne. Puste.

Wyciąga z kieszeni paczkę papierosów i częstuje mnie.

Palimy w milczeniu, wszystko znika w mroku, zostają tylko nasze wargi i żar je oświetlający, dym staje się niewidoczny.

— Ciebie nie ma — stwierdzam z nadzieją, nie wypowiadając słów.

— Nie bardziej niż ciebie — odpowiada on, a raczej same jego usta, bo reszty nie widać.

Chcę się uszczyplnąć, żeby się obudzić, ale nie mogę, bo jestem przecież sparaliżowany. Przygryzam więc język. Fajka spada na podłogę i gaśnie.

Nic się nie dzieje. Czyli to musi być naprawdę.

Gdzieś w pobliżu zapala się nagle mdłe światło.

Jestem w pokoju o ścianach wyglądających, jakby były ulepione z popiołów. Pachnie tu zużytą elektrycznością, przepalonymi bezpiecznikami, szerniałymi żarówkami, petardami, które zgasły, zanim wypaliły. Tym wszystkim naraz.

Ze ściany na prawo wyłania się Emilka.

Wypływa z niej po prostu, jak krew z rany, ropa z wrzodów. Z początku nie jest nawet w pełni uformowana. To tylko delikatny zarys kobiety, jakby manekin w odcieniach szarości, który na moich oczach staje się coraz bardziej realny, zarasta kośćmi, ciałem, skórą, ubraniem, wykwitają mu usta w niemej bryle głowy, wypływają oczy w miejsce pustych i ślepych jeszcze przed chwilą

oczodołów, puchnie nos, z początku niczym guz, a potem już taki, jaki miał być zawsze.

Emilka też jest starsza niż ostatnio. Ma siwe włosy i sine wargi, jakby wymarzała światu podczas jednej z tych nadprogramowych zim, dziejących się w niedostępnym nam wymiarze: bezśnieżnej i bezbrzeżnej, ale znacznie gorszej niż te, które znamy.

Mówi:

— Siódmego dnia odpoczął, ale potem przyszła noc i nie mógł nawet zmrużyć oka. Nim czerń się przelała na drugą półkulę, rzeźbił drewniane protezy dla synów i córek. Nanizywał kręgi piekielne na rdzeń, śpiewając ciemną pieśń, szepcząc niejasny wiersz. Udręczył glinę własnym natchnieniem, żeby nie zaznała spokoju ani przez mgnienie. Wtedy narodził się smutek, a pojedyncze ziarno w oku ojca wyrosło w perłę melancholii. Zanim przyszedł świt, ojciec już zwisał z belki w swojej pracowni. Dzieci nigdy się o tym nie dowiedziały, ale czasem nachodziło je takie dziwne przeczucie. Coś pustego w miejscu, gdzie była dusza. I wrażenie, że są tylko niewielkim fragmentem, a całej reszty nigdzie nie ma. Pracownia zbutwiała, narzędzia zardzewiały. Ostatnia proteza wrosła nam w plecy pod postacią krzyża. Nikt nie mógł uczynić nic więcej. Czas się zatrzymał, bezśnieżna zima przyszła jako bezwietrzna zadymka. Zasy były wielopiętrowe, ale nie lodowe, lecz szklane. Tunele wyryły w nich korporacje, miliardem anonimowych dłoni. Krew się rozdzieliła na samochody i przechodniów, arterie zarosły błoną betonu. Nastął niepokój.

Nie mogę jej słuchać, więc znowu gryzę się w język, coraz mocniej i mocniej.

Nic się nie dzieje, w skroniach dudni tętno, jakby sufit był tu deską i ktoś pukał z tamtej strony.

Ze ściany na lewo wyłaniają się bliźniacy. Formują się szybciej niż Emilka, ale zamiast się od siebie oddzielić, pozostają syjamscy: para głów, cztery ręce, cztery nogi. Jak stu pięćdziesięciokilowy owad. Są nadzy, ich skórę pokrywa lśniący zielonkawy śluz.

Mówią obaj naraz:

— Tron obrósł pleśnią, która była ojcem. On prosi nas o pomoc: przynieście mleko waszych kości, przynieście mięso waszych ciał, jestem spragniony, jestem głodny. Masz to dla niego?! Masz dla niego coś więcej niż to?!

Próbuję kiwnąć głową, że nie mam, ale nie mogę kiwnąć, bo jestem obecnie tylko głową, niczym więcej.

Mocniej gryzę język. Czuję, że zakorzeniłem się nim w jakimś koszmarze, w jakiejś przeszłości, która w żadnym punkcie nie stykała się z naszą historią, naszym logicznym ciągiem zdarzeń. Muszę się od tego odłączyć, bo inaczej zostanę tu już na zawsze: gdzie czas się wyczerpał, tam pojęcia „wczoraj”, „dziś” i

„jutro” są zawsze czymś przeszłym.

— Ojciec jest głodną pleśnią, jest rdzą na koronach, jest rakiem słów, toczącym pewien gatunek małp od początku początków. Jasność twoich kości i mrok twojego ciała w zamian za zagładę, zgadzasz się, zgadzasz? Ojciec mówi, że może dobić targu. Garść ognia za szklanek popiołu. Oddaj mu to. Bo on nigdy nie powtarza dwa razy, gdy słowo już padnie.

Chciałbym krzyknąć, ale nie mogę. Zdrętwiała mi twarz. Nie mam powiek, więc nie daję rady zamknąć oczu.

Odgryzam sobie język i wypluwam go w kałużę krwi, która ściekła mi z brody na podłogę.

Znów robi się ciemno.

Marcin krzyczy, a jego ciało zaczyna się kruszyć:

— Nie taka była umowa. Miałeś zabić też siebie. Ostatnią ewangelią był „Nagrobek w nagrodę”. Był kluczem otwierającym drzwi środka, kierującym wzrok do wewnątrz. Wymigałeś się, więc będziesz cierpieć przez wieczność. Koniec nie przyjdzie, zniechęcił cię. Utoniesz w milczeniu.

niepowetowana strata

— ja pierdolę, tadek, bierz go do szpitala i to w try miga, bo ja już dosłownie tutaj nie wydalłam! — krzyczę.

ręce mi się trzęsą, nogi mam miętkie, cały jestem spocony jak w gorączce.

popierdolony sławek odgryzł sobie język. ni mniej, ni więcej.

obudziło nas wycie. w pokoju hotelowym rzecz nie tak znowu częsta, choć po melanzach słyszało się już różne rzeczy. to wchodzimy do niego, patrzymy, a tam widok jak z horroru klasy „c”. on siedzi na tym swoim cholernym wózku i wyje, i ślini się na czerwono. nie pamiętam już, czemu nikt nie położył go do wyrka, pewnie zapomnieliśmy. a teraz on siedzi i wyje, krew cieknie mu z brody, zmieszana z gęstą śliną, kapie na ubranie, kapie na podłogę, a tam bonusowo leży kawał mięcha, co kiedyś był językiem. posoki leje się tyle, że boję się, że nam tu sławek zaraz trupem padnie i nici z dalszego kręcenia na nim hajsu. mogłem głupi zresztą wcześniej wpaść, że on będzie chciał w ten sposób ze sobą skończyć, to była w sumie jedyna dla niego opcja. ale łudziłem się, że dotrzyma umowy. przecież mieliśmy zacząć nasz wypasiony reality show. miało to iść przez trzy dni, na żywo, bo za trzy dni będzie ta cała egzekucja i tym samym finał programu, którego świadkami, według szacunkowych statystyk, miało być sześć do siedmiu baniek, milionów widzów znaczy. a teraz to wszystko wzięło w troki. i nie wiem, co można jeszcze, żeby nie poronić w tej kwestii na dobre.

tadek ewakuuje sławka z pokoju. w korytarzu drze mordę na pokojówkę jak nawiedzony, co jest pewnie efektem resztek koki osiadłych na jego dziąsłach.

ja siedzę załamany, masuję skronie, oddycham głęboko, mam w gębie sucho jak nigdy, gorzej niżby to był kac zwany gigantem.

słyszę, że klara dzwoni z komórki na pogotowie. to miło z jej strony, może jeszcze nie wszystko stracone i przekreślone na dobre.

klara to ogólnie megafajna dziewczyna, spodobałaby się nawet julce. robi w dziale promocji jednego z koncernów fonograficznych. kreuje młode gwiazdki. teraz w muzyce i filmie największe kariery robią właśnie dzieci, co szczególnie cieszy rosnącą w siłę mniejszość pedofilską. u nas tak było choćby z milenką, którą zrobiła od podstaw właśnie klara. na początku kariery, dwa lata temu, milenka miała lat jedenaście, przyszła na casting do jakiegoś telewizyjnego show, śpiewała przeciętnie, czasem fałszowała, ale była ładna, zgrabna i odważna. jej starsi mieli potężne parcie na sławę tej swojej pociechy, na jej zwyżkującą popularność połączoną z grubą flotą. klara od razu wpadła na pomysł, jak zrobić z małej coś wielkiego. szybko nagrali pierwszy singiel, jakieś tam nastoletnie biadolenie o miłości, sranie w banie, że coś tam coś tam, extra chłopak nie chciał jej przelecieć, a ona specjalnie dla niego kupiła różowe mini i pachnące wanilią

stringi. oczywiście pies z amputowanym prąciem by tego nie kupił, gdyby nie to, co zaszło później. otóż do mediów skapnął przeciek, że milenka i jej rodzony brat są parą. publice w try miga opadły kopary. a potem ni z tego, ni z owego do sieci wyciekł pięciominutowy film porno z samymi zainteresowanymi. oczywiście milenka żadnego brata nie miała, to był po prostu jakiś koleś wzięty z dupy, czy może tam z castingu, kto go zresztą wie, ale dziennikarze mocno to podchwycili, filmik bez cięć poszedł w wiadomościach po dwudziestej trzeciej. i jaki wtedy efekt? trzydzieści tysięcy empetrójek z singlem milenki rozeszło się właściwie na pniu, a sama piosenka trafiła do top ten radiowych i telewizyjnych list przebojów. i nagle się okazało, że wystarczy być zwykłą suczką z podstawówki albo gimnazjum, by zdurniali fani chcieli łykać na surowo twoje najgorsze pawie.

dlatego właśnie klara mnie fascynowała, intrygował mnie jej talent do przekraczania wszelkich barier. a poza tym pragnąłem w jej ramionach zapomnieć o bolesnym zawodzie związanym z elżbietką.

nie wiem, jak się to potoczy dalej, na razie stanęło na tym, że tej nocy zadowolaliśmy się oralnie, paląc w przerwach jointy i wcierając w dziąsła białko. w tym samym czasie, gdy sławek... gdy sławek...

ale moment.

no zaraz...

przecież każdy dramat można przekuć na kasę. weźże, tomek, pomyśl, to nie boli tak bardzo. czy nie było w zeszłe wakacje serialu dokumentalnego o umierających na raka, czy się nie okazało, że w esemesowej loterii, gdzie można było wygrać wspólne pójście z gwiazdami na chemioterapię, czy się nie okazało aby, że tam pół miliona osób wzięło udział, choć na co dzień to oni raka mogą se zobaczyć najwyżej na „animal planet”? cierpienie to jest ewidentnie medialny magnes. więc można by... można by...

— klarcu, gdzie zadzwoniłaś, że gdzie go mają zabrać, tego inwalidę-patafiana? — pytam.

— mówili, że do rydygiera, bo tylko tam są teraz wolne miejsca, reszta poobsadzana ptasią, kozią i świńską grypą po same sufity.

— csso? przecież to myśmy te wszystkie grypy wymyślili, nad tym siedziało z trzystu copywriterów faktów w kraju i za granicami. nawet nie wiem, czyśmy wtedy kaszlu i kichania nie ugrali, bo se nie przypominam jakoś, żeby ludzie wcześniej cierpieli na podobne rzeczy, może z wyjątkiem rytmicznych pierdów i bekania.

— a o efekcie placebo nigdy nie słyszałaś?

nic na to nie odparłem, bo że był taki zespół rockowy placebo, to wiedziałem, ale o jego efektach żeby wiedzieć coś więcej, to już nie.

po chwili udawanej zadumy nawijam dalej.

— czyli na sto procent go do rydygiera biorą?

— tak. a chciałbyś coś konkretnego teraz? zrobić ci herbaty, kawy albo loda?

— loda, kochanie. tylko zaraz, bo muszę wziąć i zadzwonić.

i zaczynam się rozglądać za moją komórką, żeby wykręcić do pawła i parę rzeczy w te pędy ugrać, ale się okazuje, że o wilku mowa, bo mój piękny fon już zaczyna pikać, a na wyświetlaczu widzę, że to nie kto inny, jak szefunio portalu „szczęsna prawda”.

— paweł — mówię. — jest teraz szybka opcja, krótka piłka. weź zbieraj ekipę, wszystkich w troki, obdzwaniam i mejluj dziennikarzy, studio przenosimy na oddział szpitalny, ładujcie w auta kamery, pojedziemy z tym koksem na żywo centralnie stamtąd.

powiedziałem to wszystko na jednym wdechu, więc teraz szybko łapię powietrza ile wlezie, żeby się na amen nie udusić, nim jeszcze prawdziwe finansowe kokosy nie spadną i nie porobią guzów na mej kształtnej czaszce.

— dobrze, tomuś, ale jest inna jeszcze sprawa, w celu obgadania której dzwonię.

zaczynam się denerwować, bo kolo brzmi zbyt poważnie. poważniej, niż gdyby mnie miał poinformować, że moja julka z nim zaszła w ciążę i trojaczki są już w drodze.

— ale jaka? — pytam, a ślinę mam, jakbym próbował przełknąć żwir, wręcz żwirek i muchomorek za jednym połykiem.

— miałem właśnie przykre wieści z ministerstwa i wychodzi, że straszny będzie szkopał...

światła, kamera, akcja

Języka nie dało się przyszyć. Był już tylko kawałem zdechłego mięsa, więc teraz go w ustach nie mam, zabrali, a razem z nim wszystkie puste słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedziałem.

Nic więcej nie powiem, będę tylko rzeził, jak non-stop konający, to będzie moja wierna mowa, czyste cierpienie bulgoczące sosem różowej flegmy, którą się pienię bezustannie i bez powodu.

Leżę w szpitalu, ciężki łeb na miękkiej poduszce, wokół białe ściany i czarne kamery, z których do witryn sieciowych i programów telewizyjnych przecieka przekaz na żywo. Żeby moje ostatnie dni nie były tylko i wyłącznie niemym filmem, Tomek wymyślił, że będzie moje nerwowe mrugnięcia tłumaczyć. Moje mruganie oczywiście nic nie znaczy, ale Tomek mówi wtedy do mikrofonów zdania w rodzaju:

— Teraz jest mu przykro za to, co uczynił.

— Teraz prosi widzów o wybaczenie i przenajszczęszą modlitwę.

— Teraz chce państwu pokazać szwy w ustach, które go bolą bardziej niż cokolwiek.

— Teraz prosi z kolei o wysyłanie esemesów na biedne dzieci. W treści wiadomości wystarczy wpisać „pomóż”.

Gdyby naprawdę chciał przekazać, co mam do przekazania, byłaby to czysta uliczna łacina, potok przekleństw.

Trochę poprzestawiałem im szyki tym odgryzieniem sobie żywcem języka, ale oni nawet z tego potrafią wyssać profity. Pierwsze strony dzienników informowały o mojej rzekomej próbie samobójczej, zamieścili nawet fotki z nieudanej operacji.

Fanów tylko przybyło. Jakiś profesor nazwał mnie nawet „głosem pokolenia”. Jakiego, kurwa, pokolenia? Co jest, cała generacja wyrosła nagle na morderców, samobójców, wizjonerów zagłady?

*

— Jutro nasz wielki wieczór. Jesteś gotowy, dasz radę? — pyta Tomek.

Mrugam dwa razy, co znaczy „nie”.

— To lepiej bądź. Taka okazja się nie powtórzy.

Przyszedł z Elżbietą Kristiansen, patrzy na nią jak zmęczony pies, chyba chciałby ją przelecieć. Jak dobrze, że jestem zbyt sparaliżowany na jakikolwiek seks. Kręci mnie już tylko własna śmierć. Na to jedno jestem napalony od dawna, podekscytowany końcem do granic możliwości.

— To jest specjalne wydanie programu „migawka” — mówi do jednego z mikrofonów Kristiansen. — Nadajemy ze szpitala Rydygiera w Krakowie, są z

nami Sławek i Tomek, bohaterowie ostatnich tygodni.

Skończ pierdolić — myślę. — Nienawidzę ciebie i twojego nawiedzonego, zmanierowanego głosu. Jesteś jedną z największych hien w polskich mediach. Pamiętam, jak robiłaś reportaż o siedmiolatku porażonym prądem, jak zadawałaś jego matce jakieś psychopatyczne pytania. Ona ryczała tak, że prawie nie mogła oddychać, a ty mówiłaś: „Czy Piotruś miał już pierwszy raz, czy może umrze jako prawiczek, klasowe pośmiewisko?” Ona rozdrapywała sobie twarz paznokciami, a ty pytałaś: „Czy on był raczej chłopcem lubianym, czy też nielubianym, wytykanym palcami?” Chciałbym mieć sprawne nogi i chciałbym cię kopać tak długo, aż z twojej niewinnej buźki zostałyby miazga. Chciałbym, żebyś miała dziecko, żebyśmy mogli je zabić na twoich oczach, rozdeptać. Pewnego dnia też będziesz bardzo cierpieć, Elżbietko, ale ja tego niestety nie doczekam.

Gada dalej:

— Jest tu z nami doktor Michał Zolafren. Panie doktorze, jak ocenia pan stan zdrowia Sławka?

W kadr wchodzi aktor z serialu „Szpitalna”. Taki z niego lekarz jak ze mnie, kurwa, krawiec. Pachnie wodą kolońską z najwyższej półki. Zamiast zwykłego fartucha, zwykłej szmaty, ma na sobie śnieżnobiały garnitur od Armaniego. W ustach zęby jak perły.

Mówi:

— Nasz pacjent jest w stanie dobrym, wskazującym na przeżycie, choć niestety nie odzyska możliwości płynnego porozumiewania się z bliźnimi. Założyliśmy osiemnaście szwów na ocalałym skrawku języka. Ma lekko podwyższone ciśnienie tętnicze. Pozdrawiam z tego miejsca moją umiłowaną żonę Krystynę i naszego synka Patryka. Patryk, tata ci kupi dzisiaj to najnowsze Call of Duty na peceta, tak jak obiecał, więc nie becz, bądź mężczyzną.

Potem znika, a jego miejsce zajmuje Tomek.

— Tomku, jak nastawienie do życia przed jutrzejszą egzekucją?

— Wszyscy chcielibyśmy mieć to już za sobą — mówi.

To chyba najdziwniejsza i zarazem najnormalniejsza odpowiedź, jakiej kiedykolwiek udzielił. Jestem w szoku. Czyżby chciał teraz, na sam koniec, pokazać trochę ludzkiego oblicza?

Zresztą nieważne.

Egzekucja jutro.

Tylko to się liczy.

*

W nocy próbuję medytować, żeby znowu nie przyszła do mnie ta infernalna zgraja z Marcinem na czele.

Wymyśliłem sobie taki wewnętrzny pokój. Jego drzwi otwierają się tylko od

środka, więc nigdy nie będzie tam nikogo prócz mnie. Ściany są czarne, jedynie po kątach pleni się jeszcze biała pleśń, chora odmiana światła. Podłoga jest miękka i czuję ją, bo w tym marzeniu mam pełną władzę w rękach i nogach, mogę chodzić, skakać, biegać. Mogę włożyć palce do ust i siłą rozciągnąć je w uśmiechu.

Gdybym tylko miał wybór, siedziałbym tam całymi dniami, ale wiem, że dużo czasu mi już nie zostało.

Z radością czekam na swój kres.

Niczego nie zapamiętam. Więc wszystko będzie stracone.

rzeczy niestworzone

tę, co się stało, nikt by się nie spodziewał.

Julka odeszła.

w pizdu, ze swych dziadów tobołkiem, ku niewątpliwie barwnemu zachodowi słońca.

jak byłem zagoniony sprawami ze sławką, spakowała wszystkie swoje manatki, każdą jedną szmatę, wzięła to w troki i poszła... zostawiła tylko na lodówce różową kartkę z wielkim napisem „z nami skąnczone”. a pod spodem, bardziej już takim maczkiem, był wyskrobany jej osobisty zarzut do biednego, bogu ducha winnego mnie.

brzmiał tak:

kochałam cię, ale miłość jednostronna to miłość rzadna. wiem, że miałeś dziesiątki innych, że ich piersi i otwory zajmowały cię bardziej niż ja ze swoją wrażliwością, swoim sercem na dłoni. może jestem staromodna, ale wciągnę wierzę w monogamiczne związki. te, które ty uważasz za zboczone. nasze rzucie było puste, w kółko tylko pieniądze i pieniądze, czasem seks, ale z twojej strony był on zgoła mechaniczny, jakbyś w myślach tylko odliczał sekundy do wytrysku, jakbyś żałował mi poświęcać ten czas, który mógł być na coś lepszego przeznaczony. w gruncie rzeczy chodziło chyba o to, że marzyłeś tylko, żeby tą całą elżbietkę poderwać, o czym mi z taką pasją opowiadałeś, majstrując nerwowo przy swym kroczu. w egoistycznym społeczeństwie chciałeś być prezydentem egoistów. prezydentem, premierem i rzondem! i nawet nieźle ci szło. teraz ja już sobie daję z tobą spokój, najchętniej to bym wstąpiła do zakonu, chirurgicznie przywróciła sobie dziewictwo i udawała, że nic nie zaszło nigdy między mną a całą masą napalonych samców. wy wszyscy jesteście tacy sami. gdyby nie załonzone twarze, myślałabym, że ciągle spotykam jednego i tego samego kutasa.

powiedzieć, że wyrwała mi duszę i podeptała swym złotym trzewiczkiem, to za mało.

ja się tej szmacie pozwoliłem wprowadzić do mojego mieszkania, dawałem pić moje drinki z mojego barku, moje majtki mogła własnoręcznie prać, gdyby tylko zechciała. na moje ciężko wypracowane tricepsy i bicepsy mogła spoglądać zalotnie, a nawet je macać. a ta mi wyjeżdża nagle z taką przegiętą akcją, centralnie, akurat w dzień mojego największego w życiu sukcesu, bo to dziś właśnie jest egzekucja sławka, choć i z tym trafiła się kurewska wtopa, bo paweł dzwonił i tłumaczył, że mamy ostro przejebane, o czym nawet szkoda gadać.

zachciało mi się bardzo z kimś kochać w tym momencie...

zadzwoiłem do klarci, ale włączyła się tylko poczta głosowa, za ledwie marne echo jej pięknego głosu.

o dupę to wszystko rozbić, a na dodatek żadnej ładnej dupy nie było w zasięgu wzroku, nie mówiąc o tych maniaczkach z czata towarzyskiego, czy też różnych prostytutkach, substytutkach i masażystkach, które mogły się okazać z punktu widzenia chorób wenerycznych wysoce ryzykowne...

nie było już fajnie. świat przestał mnie kochać, a i ja nie kochałem świata.

było tak, jakby nagle każdy fotel i kanapa w moim stumetrowym mieszkaniu zrobiły się kanciaste, nieprzysiadalne. denerwowało mnie już nawet własne ciało, jakby było tandetnym kaftanem z promocji, uwierającym na każdym jednym szwie.

podobno jak idzie taki nastrój, to najlepiej zapodać sobie jakąś dobijającą muzę, albo film jakiś o problemach egzystencjalnych i innych tego rodzaju. żaden tytuł jednak nie przychodził mi na myśl...

i wtedy nagle zazwoiłem tak, że aż mnie czoło zabolowało.

chwila, moment.

a ten cały, polecany kwieciście przez sławka, „nagrobek w nagrodę”? możliwe, że to było tylko urojone, ale może być też tak z drugiej strony, że to dziełko istnieje realnie i pewnie nic bardziej dołującego się na tym świecie nie znajdzie. po zobaczeniu czegoś takiego, mógłbym w miarę szybko poczuć się dużo bardziej pozytywnie niż teraz, bo przecież cierpienie innych w try miga jest w stanie nas uszlachetnić.

odpaliłem więc kompa, wlałem w jakiś międzynarodowy katalog torrentów.

nie minęło pięć minut, jak „nagrobek w nagrodę” był znaleziony. wprowadzie w archaicznej wersji divx i rozmiarze giga czterysta, co było swojego rodzaju parodią, parodontozą jakości, ale z braku laku można spróbować.

kliknąłem na ściąganie i czekałem, czekałem...

tunele na końcu światełek

Scena była gigantyczna. Wzniesli ją na Rynku Głównym, tuż przy Sukiennicach. Zadaszona czarnym materiałem w tysiące fosforycznie białych czaszek, lśniących jak gwiazdy.

Wokół kłębili się już gapie, według wstępnych obliczeń grubo ponad pięćdziesiąt tysięcy. Niektórzy mieli flagi, na których rozpościerała się moja podobizna na wózku inwalidzkim. Inni skandowali moje imię, śpiewali o mnie dołujące piosenki, które ostatnimi czasy robiły karierę w internecie. Dziś byłem dla nich kimś ważnym, może nawet najważniejszym.

— Program jest prosty — powiedział Tomek, jeszcze na backstage'u, gdzie dwie makijażystki i fryzjer w pocie czoła przygotowywali mnie na wielkie wejście. — Wpadamy teraz na moment, żeby wszyscy mogli zobaczyć, że jesteś i żyjesz, bo ktoś po forach puścił plotkę, że wykrwawiłeś się wtedy z tym kurewskim językiem. Potem uroczysty koncert, hiphopowy duet Chopinsyny, Milenka i rockowe trio Wycieraczki dadzą czadu jak się patrzy. W tym czasie oczywiście konkurs esemesowy, z odpowiedzią na pytanie, czy masz zostać stracony czy nie. To rzecz jasna już ustawione od dawna. No a potem końcowa egzekucja i śliczny pokaz sztucznych ogni. To co, jedziemy z tym koksem?

Mrugnąłem raz, że tak.

Dał mi się napić czegoś ze szklanki i czekał aż przełknę. Smakowało jak te najtańsze oranżady, które piłem, gdy nie było mnie na nic stać.

Potem pchnął wózek z całej siły i wjechałem na scenę.

*

Rozbłyły jaskrawe światła, po lewej i prawej rozświetliły się kolumny zimnych ogni.

Brawa były tak głośnie, że wszystko drżało jak w czasie trzęsienia ziemi, a motyw muzyczny z „Requiem dla snu”, który towarzyszył mojemu wielkiemu wejściu, przestał być w ogóle słyszalny.

Z Tomkiem coś było dzisiaj ewidentnie nie tak. Poruszał się sztywno, jak robot, któremu padło zasilanie. Błady, roztrzęsiony. Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stresie.

— Dobry wieczór paniom i panom szanownym! — krzyknął. — Powitajmy razem naszą przynajwiększą gwiazdę!

Przytknął mi do ust mikrofon, żebym wycharczał cokolwiek.

— Chrrr... chromhyyyy. — W zamiarze miało to brzmieć jak „dzień dobry”, mimo że było już zdrowo po osiemnastej.

Zgromadzeni zupełnie nie przejmowali się moją niedyspozycją. Przez całą długą minutę dziesiątki tysięcy gardeł skandowało:

— Sła-wek! Sła-wek! Sła-wek!

Mózg miałem jak zdrętwiały. Powieki ciężkie. Miejsce, gdzie wcześniej był język, paliło nieludzko i smakowało siarką.

— No i jak państwo kochani uważają? — spytał Tomek. — Lepiej go ułaskawić czy stracić raz na zawsze?

Wskazał na masywne krzesło elektryczne, które stało w tyle sceny niczym jakiś futurystyczny czołg, owinięte pękami kabli, z czepkiem pełnym elektrod jak kuriozalną aureolą.

— Wysyłajcie esemesy o treści „tak” lub „nie” pod numer 8866684. I pamiętajcie: tego wieczoru jego życie należy do was.

*

Potem zaczęły się występy zapowiadanych gwiazd muzyki rozrywkowej. Była to taka żałość i obciach, że wolałem się od tego odciąć.

Wpełzłem więc do mojego wewnętrznego pokoju, skuliłem na miękkiej podłodze i podziwiałem nieskazitelną czerń ścian. Siłą woli udało mi się nawet wymazać resztki pleśni, zalegające wcześniej po kątach. Zrobiło się czysto jak nigdy.

Na zewnątrz grała muzyka, tysiące małą w ubraniach skakały i klaskały. Gdyby jakkolwiek bóg istniał, okazałby miłosierdzie i dał wreszcie ogłuchnąć, chociaż na chwilę.

Wewnętrzny pokój trząsł się w posadach.

Przed dwudziestą drugą zawalił się na dobre.

Zbliżał się mój koniec: olbrzym na glinianych nogach.

*

Dwóch byczków, po sto kilo z okładem każdy, w opiętych czerwonych koszulkach i spodniach uwydatniających przyrodzenia, podniosło mnie z wózka i przesadziło na krzesło elektryczne. Głowa opadła mi na piersi, więc Tomek ją poprawił, przy okazji wycierając mi chusteczką różowawą ślinę, którą toczyłem z pyska jak zdychający pies. Potem podszedł do mikrofonu, na którym były jeszcze ślady po szmince Milenki, bo przed jakimś kwadransiem symulowała z tym urządzeniem seks oralny, więc też go wytarł, tą samą chusteczką.

— Mili państwo, ten wieczór zaprawdę jest niezapomniany. Wystąpiły wielkie gwiazdy, a teraz przyszedł czas na rozwiązanie naszego konkursu esemesowego. Wszyscy długo czekaliśmy na ten moment, śledziliśmy w mediach losy naszego bohatera, Sławka, który ze zwykłego pracownika sektora usług i reklamy stał się idolem, ikoną, porywa tłumy. A teraz... teraz wszystko ostatecznie się wyjaśni.

Na scenę z prawej wbiegła jakaś kretynka w samych stringach i przyciasnym staniku. Żałowałem, że nie byłem bliżej, bo z chęcią bym na nią plunął, ale nawet

tej przyjemności los mi poskąpił.

Podał Tomkowi kopertę. Otworzył ją z namaszczeniem. Nawet z daleka widziałem, że kartka, którą wyjął, jest czysta, biała.

— Szanowni państwo, tutaj i przed ekranami. Stosunkiem głosów 52% do 48% zdecydowaliście że...

Zabrzmiał werbel. Z tłumu dochodziły pojedyncze krzyki i gwizdy.

— Sławek tego wieczoru zostanie stracony na krześle elektrycznym!

Z zawieszonych nad naszymi głowami pojemników posypało się konfetti, gdzieś tam z przodu eksplodowało kilka petard, ludzie znów zaczęli skandować moje imię, jakby nic innego nie przychodziło im już na języki.

— Żeby nie trzymać was dłużej w niepewności, wyrok zostanie wykonany niezwłocznie.

*

Niepokojąca muzyka. Zgromadzeni klaszczą do rytmu.

Tomek wskazuje ręką na lewo. Tam też kieruje się światło reflektora.

Jestem zmęczony, oczy same się zamykają.

*

Po lewej stronie sceny coś w rodzaju konsoli sterowania... Która wygląda bardziej jak... Jak senny koszmar pisarza science-fiction niż maszyna... Maszyna obsługująca krzesło elektryczne, stoi... Stoi przy niej jakiś brodacze w lekarskim fartuchu.

Coś nie gra — myślę.

Słyszę w głębi głowy przeszywający śmiech Alicji. Nie ma w nim radości. To jakby fajerwerk czystej rozpacz...

W twarzy brodacza rozpoznaję Władysława Hala, prowadzącego przed laty program popularnonaukowy w telewizji.

Dotyka zielonego przycisku na konsoli.

*

Czepek z elektrodami automatycznie zjeżdża mi na głowę.

Tomek podchodzi i sprawdza, czy wszystko w porządku.

Puszcza do mnie oko.

Nic z tego nie pojmuję.

Czy oni nawet śmierci nie są w stanie traktować poważnie?

Jakie szczęście, że to już moje ostatnie chwile tutaj.

Nie byłbym w stanie wymyślić jakiegokolwiek zdania, by pożegnać tych, którzy zostają. Nigdy do nich nie należałem.

Jestem krańcowo zmęczony.

Czuję, jakby właśnie miał nadejść pierwszy od dawna sen, ukoronowanie wszystkich poprzednich, wizja rozedrganego ciała, rozrywanego prądem, koniec

wszelkich końców.

Z ulgą wyczekuję nieuniknionego.

*

Brodacz przy konsoli uśmiecha się do mnie.

Twarz ma okrągłą i jasną jak słońce.

Wciska czerwony przycisk.

*

Gasną wszystkie światła, poza reflektorem wycelowanym w moją stronę.

Razi mnie, poraża.

Nawet przez zamknięte powieki przebija się bolesny blask.

Jest cicho. Umilkła muzyka, Tomek zamknął się wreszcie, publiczność nie puszcza nawet pary z tych wszystkich zwierzęcych pysków.

Czuję zapach zużytej elektryczności.

I słyszę narastające brzęczenie.

Zanim na dobre przeszyje mnie prąd, widzę, jak snopy iskier sypią mi się z tego komicznego czepka prosto na twarz.

I te iskry wcale nie parzą, są zupełnie zimne.

prolog (koniec końców)

to wszystko trzeba było zrobić w try miga, żeby publika się nie skapnęła, żeby gładko kupiła moją megasymulację, moje arcydzieło copywritera faktów.

jak zadzwonił wtedy paweł i powiedział tragiczną wiadomość, że zielone światło, co je mieliśmy z ministerstwa sprawiedliwości, wzięto i zmieniło się nagle na czerwone, bo jakiś skurwiel od praw człowieka zaczął się mieszać i naszego dobrze posmarowanego kolegę szantażować, wyzywać go od najgorszych, powoływać się na wyższe instancje, to byłem o krok od zupełnej załamki, od wpadnięcia w zupełnie najczarniejszą rozpacz.

wiedziałem, że z realnej egzekucji nici, że jakieś tam konwencje praw ludzi i zwierząt są w tej kwestii jednoznacznie na nie, że tego nie obejdziemy, bo ten szantażysta się na to powoła przed trybunałami, że nie podskoczmy wyżej, niż dupy na ten moment mamy, a zarazem zdawałem se sprawę, że rzecz raz puszczoną w tok odkręcać teraz na gwałt to by była niemożność i medialne samobójstwo, wręcz harakiri, hare kriszna.

co było robić, co było robić? — pytałem sam siebie w swoim przenajszerszym sercu.

wtedy to wpadłem na genialny pomysł, żeby jednak nie rezygnować z naszego show, żeby wszystko zasymulować. oczywiście sławkowi o tym ani mru-mru, bo on był nie tyle naturszczyk, ile tru, stuprocentowy tru, i by nam jeszcze rzecz całą spierdolił w trakcie wielkiego finału. więc przed wejściem na scenę zapodałem mu w szklance letki środek, żeby go zamroczył, kiedy przyjdzie czas. i tak się stało.

ze ściemnioną śmiercią na ściemnionym krześle pseudoelektrycznym poszło jak z płatka, ludziom z wrażenia rozwarło japy, kopary na beton centralnie opadły, na sieciowych forach zawrzało jak nigdy wcześniej. każdy nagle chciał się w tym temacie wypowiedzieć, każdy miał swoje uwagi, pochwały, zapytania i zażalenia.

po szybkim okazaniu żywej ofiary tamtemu szantażyście, żeby się więcej nie ciskał, jeszcze na ten sam dzień ugraliśmy wywózkę sławka do niemieckiego domu opieki na jakimś kompletnym już zadupiu, gdzie nikt go nie zna ani z twarzy nie kojarzy. tam będzie sobie dogorywał przez całe długie lata. to już nie moja brocha zresztą, to paweł i jego znajomi wyłożyli na to kaszanekę, niech się sami martwią i za powodzenie tego przedsięwzięcia raz po raz zdrowaśki odmawiają.

ważne, że widzowie wszystko łyknęli bez popity, każdą fałszywą kroplę.

myśmy ręce mieli czyste, bo w końcu nikogo na serio nie zabiliśmy, a było naprawdę cacy, przedstawienie odstawione na wysoki połysk, nie ma to tamto.

satysfakcję z tego miałem mniejszą, niż można by się spodziewać, ale trudno się mówi i jedzie się dalej.

w tej branży nigdy nie ma łatwo.

*

a jeszcze dodam na koniec już końców, że od chwili, jak wtedy oglądałem ten cały „nagrobek w nagrodę”, było mi cholernie smutno i ciężko na duchu. doła nakręciłem sobie totalnego, wręcz od horyzontu po horyzont. wolałbym tego nie widzieć, tej paranoi toczącej ekran, wolałbym, żeby i to sławek sobie w swoim psychicznym widzie wymyślił, wyśnił, bo takimi zgniłymi potrawami częstować własne gały, to po prostu niesmaczne i żal.

jułki nie było obok, żeby pocieszyć, pogłaskać, obciągnąć, podać pomocną dłoń.

klara miała jakiś zagraniczny wypad, obmacywanki z argentyńskimi piosenkarzami czy coś.

a elżbietka była poza zasięgiem, okazała się wtopą, co ci nawet nie da zamoczyć, szkoda po prostu słów moich.

więc totalna poracha z tak zwaną płcią piękną, emocjonalna korupcja i seksualny wyzysk, mafijne ich zagrania, by po ludzku uniemożliwić mi wytrysk, potrzebom moim głębokim egzystencjalnym choć raz nie uczynić zadość.

i żadnej nowej frapującej pizdy na horyzoncie, zupełna nagle posucha, jakby odkleiła się ode mnie cała moja atrakcyjność, cały mój zwierzęcy magnetyzm wziął niespodziewanie w troki i udał się na erotyczną emigrację.

już mi się zdarzało pętle śnić nocą, skoki radosne z wieżowców, zamachy na własne kable przy użyciu żyłek bądź noży.

zacząłem nawet ostatnio łązić sam do „pod mocnym menelem” i pić tam do siebie, z luster wciągać ściechy, do własnego odbicia się tajemniczo uśmiechać. kosztowało to niemało, ale po tym, co odstawiłem, byłem ustawiony na dekadę w przód, jak nie lepiej.

knajpa w try miga stała się moim drugim mieszkaniem.

a jak tam dziś poszedłem koło południa, to się wykluła zupełnie dziwna historia, co sądzę, że mi ją podłożył jakiś zazdrosny copywriter faktów, który nawet ćwiartką mojego sukcesu i talentu się nie może pochwalić. bo żeby to było realnym zupełnie faktem, to jest niemożliwość, to jest przegięcie pałki i nią wywijanie niczym lassem.

słuchajcie.

siedzę sam w łoży, centralnie. pustawo w całym lokalu. sztuczny wiatr z wiatraków mieli ciężkie powietrze. plastikowe rośliny doniczkowe zginają się w

symulowanych ukłonach.

mam na sobie brudniutkie łachmany, pchły i wszy radośnie po mnie skaczą, piję najgorsze piwsko, jakie znają krajowe browary. jest dobrze, smutku chwilowo nie ma, odegnany.

i wtedy nagle dosiadają się do mnie koleś o urodzie jezusa chrystusa superstara z taką niczego sobie lalą, rzucają mi na stolik wymiętą broszurę, którą chyba kotu z anusia wygrzebali, cieszą japy i mówią jedno przez drugie:

— nie bierz nas za jakichś sekciarzy, ale chcielibyśmy ci coś pokazać.

dacie wiarę?

październik-grudzień 2009

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[epilog](#)
[pożegnaj się z ziemią i skacz](#)
[nieznośna słuszność mizantropii](#)
[przegryzione kable zasilania](#)
[inna bajka](#)
[msza dla mszyc](#)
[jazda z przerwą na miłość](#)
[prawda wyzwala przemoc](#)
[dobre wieści dla ludzi kochających złe wieści](#)
[ciemne miasta błyszczą pod powierzchnią map](#)
[zderzenie poematów](#)
[nadpobudliwe pobudki](#)
[głowa idzie pod młotek](#)
[dno się rozciągnęło na krawędziach horyzontów](#)
[się nagra, się sprzeda](#)
[zamieszanie](#)
[żeby zrobić ludziom dobrze](#)
[kropla prawdy, łyk przepaści](#)
[popularniejszy niż rohypnol](#)
[martwy język](#)
[po łebkach](#)
[bezsennik](#)
[okiem migawki](#)
[drugie przyjście](#)
[niepowetowana strata](#)
[światła, kamera, akcja](#)
[rzeczy niestworzone](#)
[tunele na końcu światełek](#)
[prolog \(koniec końców\)](#)